



## RADOSNE I BEZTROSKE DNI

SĄ UDZIAŁEM DZIECI W ZSRR I W KRAJACH DEMOKRACJI LUDOWEJ. SZCZĘŚLIWE DZIECIŃSTWO DLA WSZYSTKICH DZIECI ŚWIATA — OTO HASŁO, POD KTÓRYM OBCHODZONY JEST DZIEŃ PIERWSZEGO CZERWCA, MIĘDZYNARODOWY DZIEŃ DZIECKA.

Fot.: „ŚWIAT” — P. Kornecka

## MISTRZOWIE EUROPY W BOKSIE



## ZGON RAFALA PRAGA

Rafał Praga, jeden z najbardziej utalentowanych dziennikarzy polskich, założyciel i naczelny redaktor dziennika „Express Wieczorny” zmarł nagle w Warszawie w dniu 24 maja 1953 roku, przeżywszy lat 36.



W Warszawie zakończyły się X Mistrzostwa Europy w boksie. Oto dziesięciu mistrzów Europy w poszczególnych wagach: (od lewej) Kukier (Polska), Stefaniuk (Polska), Kruża (Polska), Jengibarian (ZSRR), Drogosz (Polska), Chychta (Polska), Wells (Anglia), Wemhoener (Niemcy zachodnie), Nietschke (NRD), Szocikas (ZSRR). zwycięstwo drużynowe odniosła Polska. Reprezentację naszą bardzo starannie przygotował do spotkania — Feliks Sztani.

CAF

## BUDOWNICZOWIE RADZIECCY W NOWEJ HUCIE



W Nowej Hucie bawiła niedawno wycieczka radzieckich budowniczych Pałacu Kultury i Nauki im. J. Stalina. Robotnicy polscy przyjęli gości bardzo serdecznie.

CAF

## PRZYGOTOWANIE KAMPANII ŻNIWNEJ



W Państwowym Ośrodku Maszynowym w Śremie (woj. poznańskie) odbyło się zebranie, na którym ustalono szczegółowe plany prac i harmonogramy kampanii żniwnej.

CAF

## ZWYCIĘSKI STRAJK W ZAKŁADACH RENAULT



Strajkujący robotnicy francuskich zakładów budowy sprzętu motorowego Renault odnieśli pełne zwycięstwo. Zjednoczona akcja robotników zmusiła dyrekcję fabryki do wycofania policji z terenu zakładów oraz podjęcia rozmów z przedstawicielami związków zawodowych w sprawie podwyżki płac i otwarcia fabryki.

CAF

## ZAWODY MOTOCYKLOWE W WARSZAWIE



W niedzielę, 17 maja, mieszkańcy Warszawy przeżyli wiele emocji obserwując interesujące zawody motocyklowe i samochodowe, które odbyły się na ulicach miasta.

CAF



Czy potrafisz, Czytelniku, odnaleźć siebie na tym zdjęciu? Nie przyjdzie Ci to łatwo, chociaż w ubiegłą niedzielę na pewno byłeś nad Wisłą. Warszawiaków, którzy tego dnia wylegli na stołeczne plaże — liczyło się na tysiące. Nic dziwnego. Czy można było spędzać wolny czas gdzie indziej, jeśli termometr wskazywał 40° w cieniu?

# KIEDY CIEŃ NIE DAJE CHŁODU

Fot. Z. MAŁEK



Przedsiębiorstwo „Żegluga na Wiśle” nie mogło narzekać na brak frekwencji. Trzeba przyznać, że „Matejko” nie mógł już zabrać więcej ludzi, a takich kursów odbył co najmniej kilka. Wieczorem zaś wędrowka powrotna... Wczasy rodzinne pod „namiotem”. Dzień spędzony nad wodą — to wydajniejsza praca i nauka nazajutrz...

Ostatni maruder podnosi żagle. Inni amatorzy żeglarsstwa już dawno wypłynęli na szerokie wody Wisły.



A oto grupa „żeglarzy”. Ci postanowili wstać nieco wcześniej i popłynąć statkiem spacerowym do Młocin...



Wieczorem zabawa, występy, atrakcje. W Powsinie (na zdjęciu), na Bielanych, w wielu innych miejscowościach było nie mniej rojnie niż na plażach. Nadchodzi noc: kolej na miłe wspomnienia i okłady z kwaśnego mleka...



# Ś M I E C H W KATAKUMBACH



Po zdemaskowaniu fałszerstwa organizatorzy wystawy stracili głowy, robiąc coraz większe głupstwa. Na planach wystawowych postacie zamalowane zostały czarną farbą i zaopatrzone dodatkowym napisem: „Fotografia zamalowana ze względu na cenzurę KP Włoch”.



Szef fałszerzy, podsekretarz stanu do spraw prasy i informacji, Giorgio Tupini, którego ulica włoska nazwała ironicznie „podsekretarzem stanu zaświatów”.

**O**TO prawdziwa historia jeśli nie największego, to na pewno najgłupszego oszustwa ostatnich lat. W rozległych katakumbach — podziemiach rzymskiego dworca Termini, z wielkim hałasem otwarto przed kilkunastu dniami „Mostra dell'al di la” — wystawę „Z tamtej strony” (dosłownie — z zaświatów). Sam podsekretarz stanu do spraw prasy i informacji w prezydium rady ministrów, Giorgio Tupini, dokonał uroczystego przecięcia wstęgi. Dziesiątki „autentycznych” zdjęć i eksponatów przekonać miały włoskiego widza, że „z tamtej strony”, „za żelazną kurtyną”, tj. w krajach socjalizmu panuje terror, głód i nędza. Jeśli więc mrugające okiem obrazy, kiwające palcem figury świętych i inne cuda zmobilizowane przez Watykan w akcji przedwyborczej nie zdołają w dostateczny sposób przekonać Włochów, że ich świętym obowiązkiem jest głosować 7 czerwca na partię signora De Gasperi, to dokonają tego na pewno duchy wyczarowane przez magików z „Centro per la Documentazione Popolare” (dokładny adres: Rzym, via Alessandria, przewodniczący — deputowany klerykalny Giacinto Froggio, w cywilu urzędnik Akcji Katolickiej). Tym bardziej, że — jak pisał reakcyjny dziennik rzymski „Il Momento” — materiały przedstawione na wystawie „zostały sumiennie wybrane i dokładnie skontrolowane w ciągu 2 lat intensywnej pracy”.

Toteż Gino de Sanctis nawoływał w półoficjalnym dzienniku „Messaggero” z 9 maja: „A więc niechaj obejrzą tę wystawę nasi przyjaciele-intelektualiści z prawicy i lewicy; niechaj przekroczą barierę z kolczastego drutu i zerwą zaskonę z kajdan, niechaj przypatrzą się d o k u m e n t o m, ...niechaj spojrzą na listę książek zakazanych przez rosyjską cenzurę: będą mieli czym się przerażać i z czego się śmiać”.

Włosi z prawicy i lewicy i ze środka poszli rzeczywiście na wystawę, przekroczyli barierę utworzoną wprawdzie nie z kolczastego drutu, ale z setki przeszło karabinierów pilnujących wystawy, obejrżeli „sumiennie wybrane i dokładnie skontrolowane w ciągu dwóch lat intensywnej pracy dokumenty” i... zaczęli się śmiać. A gdy tak się śmiali, coraz więcej ludzi przybywało do podziemi ponurego bloku Termini i w katakumbach zbudowanych i przystrojonych widmami przez partię, która się mieni chrześcijańsko-demokratyczną, rozległ się śmiech tak potężny, że zatrwożyli się malinowi pracownicy z Watykanu i elegancyści panowie z Viminale...

Od śmiechu tego rozpadła się wystawa nienawiści. Sfabrykowana kosztem wieluset milionów lirów, w typowo amerykański sposób, machina propagandy antykomunistycznej obróciła się przeciwko jej autorom i porzuciła ich pod gruzami kłamstwa.

*Non c'è da illudersi. La storia dei romani Nardecchia e Judicone, inopinatamente ritrovatisi, sia pure in effigie, sotto le inovinate spoglie di socialisti e di borghesi prigionieri nei campi di concentramento di oltre cortina, costituisce un duro colpo per la causa dell'anticomunismo. Tutta Roma ne sta ridendo. Domattina ne riderà tutt'Italia.*

Skrajnie faszystowski dziennik „Il Popolo di Roma” w numerze z dnia 16 maja tak pisał o zdemaskowaniu fałszerstwa:

„Nie ludźmy się. Historia mieszkańców Rzymu, Nardecchia i Judicone, którzy — wprawdzie tylko w reprodukcji — znaleźli się na wystawie wcieli w socjalistów i mieszczan — jeńców obozów koncentracyjnych spoza kurtyny, stanowi dotkliwy cios dla sprawy antykomunizmu. Dzisiaj śmieje się z tego cały Rzym. Jutro śmiać się będą całe Włochy”.

## HISTORIA JEDNEJ FOTOGRAFII

Alfredo Nardecchia, urzędnik agencji fotograficznej signora Ivo Meldolesi (dokładny adres: Rzym, via Due Macelli 97) nie zdziwił się zupełnie, gdy właściciel firmy zwrócił się do niego, mówiąc: „Potrzebna mi jest fotografia jakiegoś socjalistycznego typu. Zdaje mi się, że pan odpowiada stawianym wymaganiom. Czy chce pan pozować do jednego lub dwóch zdjęć?” Nardecchia niejednokrotnie już brał udział w reportażach fotograficznych opracowywanych przez firmę Meldolesi na zamówienie różnych redakcji, organizacji itp. Toteż i tym razem wyraził zgodę, przypuszczając — jak pisał później w liście otwartym do redakcji „Unità” — że chodzi po prostu o zdjęcie do jakiegoś plakatu P.S.I. — Włoskiej Partii Socjalistycznej.

Na via Due Macelli, w pobliżu zakładu signora Meldolesi, Nardecchia został sfotografowany przez jednego

Oto trzy akty jaskrawego oszustwa ostatnich lat. W akcie pierwszym Alfredo Nardecchia, pracownik zakładu fotograficznego signora Meldolesi, zostaje sfotografowany na via Due Macelli w Rzymie, jako „typ socjalisty”. W akcie drugim Alfredo Nardecchia, obywatel włoski, staje się „polskim niewolnikiem” na planszy wystawy „z tamtej strony”. Oszustwo nastaje jeszcze przegwałtowane i oto następuje farsy akt trzeci: zdjęcie Nardecchia opuszcza ramę, pozostawiając po sobie tylko napis.

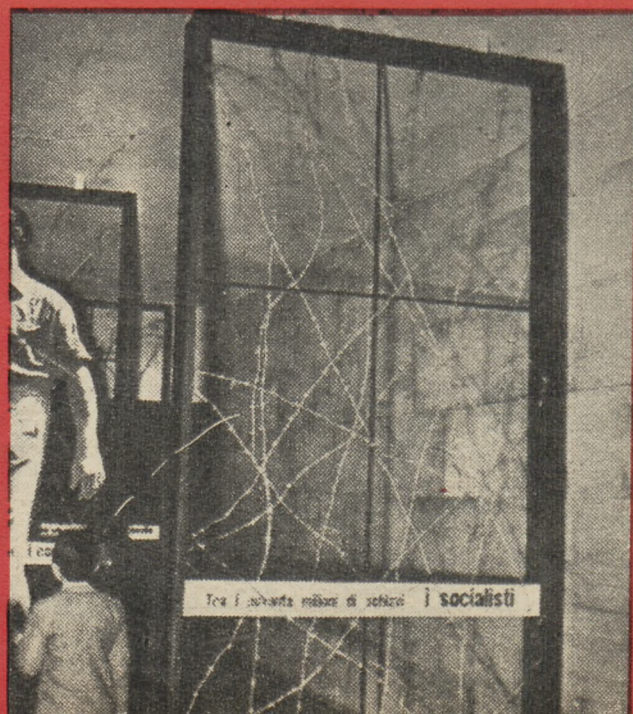
### AKT I



### AKT II



### AKT III



ze swych kolegów. Po drodze zrobiono zdjęcie pana Dionigi Judicone (dokładny adres: Rzym, via Germano Sommeiller 25), którego postać odpowiadała wymaganiom zamówienia na fotografię „przeciętnego mieszczanina, przedstawiciela klasy średniej”. I na tym zakończył się pierwszy akt farsy. Mimowolnie aktorzy wrócili do swych normalnych zajęć: jeden do laboratorium signora Meldolesi, drugi do sklepu na via Due Macelli, w którym pracuje.

Nardecchia dawno już zapomniał o całej historii, gdy oto jeden z jego kolegów wysłany przez firmę celem zrobienia serii zdjęć z „Mostra dell'Aldila” oznajmił mu ze śmiechem: „Wiesz Alfred, widziałem dziś twoje zdjęcie powiększone do dwukrotnej wielkości postaci naturalnej, całe oplecione drutem kolczastym i opatrzone podpisem „Wśród dziewięćdziesięciu milionów niewolników: socjaliści”. Ładnie cię urządzili”.

Nardecchia zdębiał. W pierwszej chwili sądził, że kolega kpi sobie z niego, po chwili przypomniał sobie historię „socjalistycznego typu” i czym prędzej pobiegł na wystawę. U wejścia powitał go olbrzymi obraz mura-za „za żelaznej kurtyny”: papierowa czapka na głowie, młotek w ręku, ubranie w strzępach. Tylko twarz, a zwłaszcza wielkie wąsiska wydawały się znajome... Ależ tak, to przecież signor Giovan Battista Arista, popularnie zwany „Titta”, spiker „Giornale Radio”, którego fotografia zdobi co tydzień tygodnik radiowy „Radiocorriere”! „Ale go ubrali” — pomyślał signor Nardecchia i szybko zszedł do podziemi, gdzie z przerażeniem zaczął oglądać „dokumenty komunistycznego terroru”. Nagle — co to? — przecież to Alfredo Nardecchia we własnej osobie, a ten drugi to Dionigi Judicone, dwaj rdzenni rzymianie, przemienieni nagle w „polskich niewolników”. A ten duchowny za kolczastymi drutami obozu koncentracyjnego, to przecież ksiądz sfotografowany na via dei Lucchesi w chwili gdy spieszył do papieskiego Uniwersita Gregoriana na piazza della Pilotta. I on również przybrał postać „niewolnika komunistów”. Giorgietto (ironiczna nazwa nadana przez ulicę rzymską podsekretarzowi stanu Tupiniemu) i jego kompania to prawdziwi magicy...

Gdy „polscy niewolnicy”, Nardecchia i Judicone, in pretto romanesco — w najczystszej dialekcie rzymskim zaprotestowali przeciw jawnemu oszustwu i zażądali od dyrekcji wystawy usunięcia plansz — zostali po prostu wyrzuceni za drzwi przez pilnujących „praw-



#### AKT I

Przypadkowy ksiądz, przemierzający spokojnym krokiem via dei Lucchesi w Rzymie, nie przypuszczał zapewne, że postać jego przekształci się pod działaniem różdżki czarodziejskiej min. Tupiniego — w „niewolnika komunistycznego obozu koncentracyjnego”. Ale kłamstwo ma krótkie nogi!



#### AKT II

dy” karabinierów. Zapomnieli widzieć, że żyją w „wolnym kraju” signora De Gasperi, a nie za żelazną kurtyną. Tym bardziej, że przecież sam signor Tupini, odpowiadając na protest ambasady polskiej przeciw łobuzerskiej wystawie, oświadczył: „Wystawa oparta jest na dokumentach, a gdy utrzymuje się, że jakiś dokument jest fałszywy, trzeba to udowodnić”. A mówiący rzeczy dobre czy złe, ale zawsze kłamliwe, „Głos Ameryki” grzmiał we wszystkich językach: „Każdy fakt jest sprawdzony, udokumentowany. Z każdej tabeli, z każdej fotografii, z każdej krótkometrażówki bije prawda”. (A jakże! Tajni wysłannicy magików Tupiniego nakręcili nawet specjalne filmy za „żelazną kur-

tyną”. A że „bohaterami”: tych krótkometrażówek — na więcej nie starczyło już fantazji — są spikerzy rzymskiego radia, to przecież nie ważne dla propagandzistów „prawdy” w rodzaju signora Tupiniego i jego opiekunów z „Voice of America”).

#### CUDA I CENZURA

W ponurym lokalu na via Alessandria zebrali się zdenerwowani panowie: deputowany chadecki i prezes „Komitetu Dokumentacji Ludowej”, Giacinto Froggio, projektant wystawy architekt Claudia Conti i „pod-

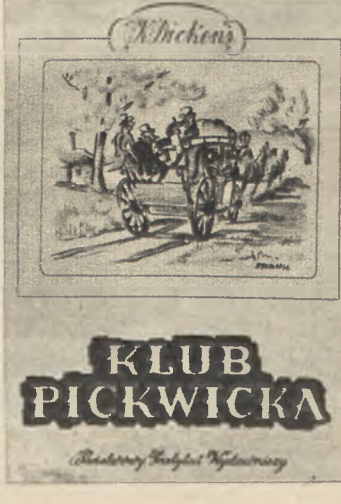
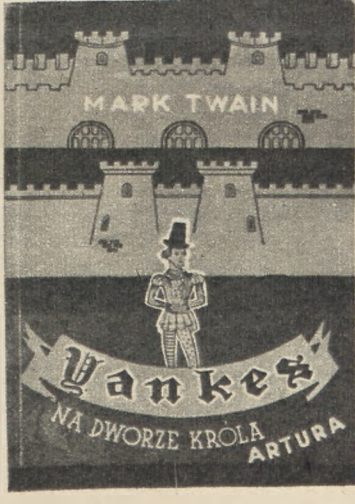
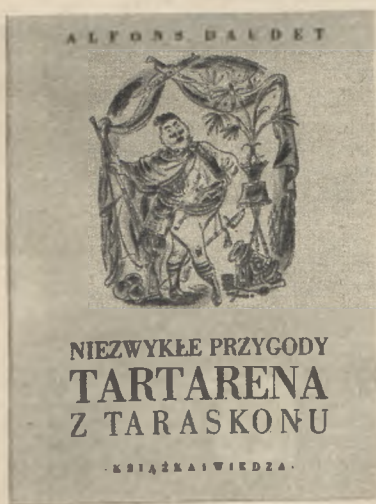
sekretarz stanu zaświatów”, Giorgio Tupini. Dużo było wzajemnego wymyślania, gróźb i obelg, wreszcie jednak zdecydowano usunąć skompromitowane plansze (pozostawiając jednak ramy, druty kolczaste i napisy „objaśniające”), na pozostałych zaś zamalować czarną farbą postacie „niewolników”. Aby jednak „odgryźć” się brzydkim komunistom, którzy zdemaskowali fałszerstwa — na wszystkich planszach umieszczono wielkimi literami napis, który głosił, że zdjęcia te zamalowane zostały na skutek cenzury Włoskiej Partii Komunistycznej.

Teraz potężna fala śmiechu wyszła z podziemi dworca Termini i ogarnęła całe miasto. W tramwajach i na ulicach, sklepach i halach targowych, w biurach korespondentów prasy zagranicznej, ambasadach i poselstwach rozlegał się homerycki śmiech, jakiego dawno już nie słyszały mury starożytnej Romy.

I znów potrójny kordon karabinierów i „celere” opasał wejście do „katakumb”. A gdy otwarto bramę do tego „kina bez biletów” — jak wystawę nazwała ulica rzymska — okazało się, że w magiczny sposób zniknęły dalsze plansze i usunięto napisy mówiące o „komunistycznej cenzurze”. „Cenzura usunęła cenzurę” — pisał jeden z dzienników rzymskich.

Ale nie wszystko zostało usunięte. Nadal więc Wielcy Magowie Fałszu i Prowokacji głoszą, że w krajach demokracji ludowej zakazane są przez „cenzurę rosyjską” książki pisarzy amerykańskich, francuskich, włoskich. Zakazany jest więc „Pinocchio” — biedny, drewniany pajacyku, nie

#### KSIAŻKI RZEKOMO ZAKAZANE UKAZAŁY SIĘ W WIELKICH NAKŁADACH W POLSCE LUDOWEJ

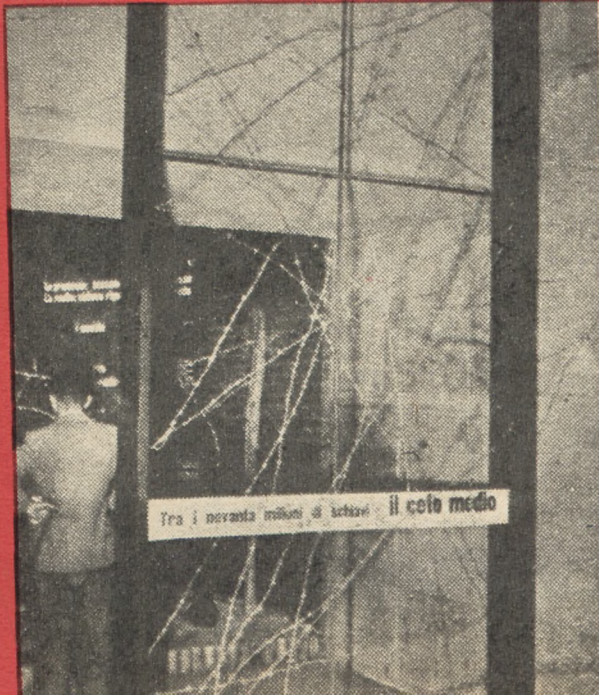


Tutaj komedia ma tylko dwa akty. W pierwszym Dionigi Judicone sfotografowany na via Due Macelli jako „typowy mieszczanin” pojawia się w charakterze „polskiego niewolnika” na wystawie „Aldila”. Gdy „polski niewolnik” w najczystszej romanesco — dialekcie rzymskim, zażądał usunięcia swego portretu, nastąpił akt drugi: w pustych ramach, za drutem kolczastym widzowie włoscy dojrzaeli prawdziwe oblicze chadeckiej propagandy, nie cofającej się przed żadnym kłamstwem aby ogłupić włoskie społeczeństwo.

#### AKT I



#### AKT II



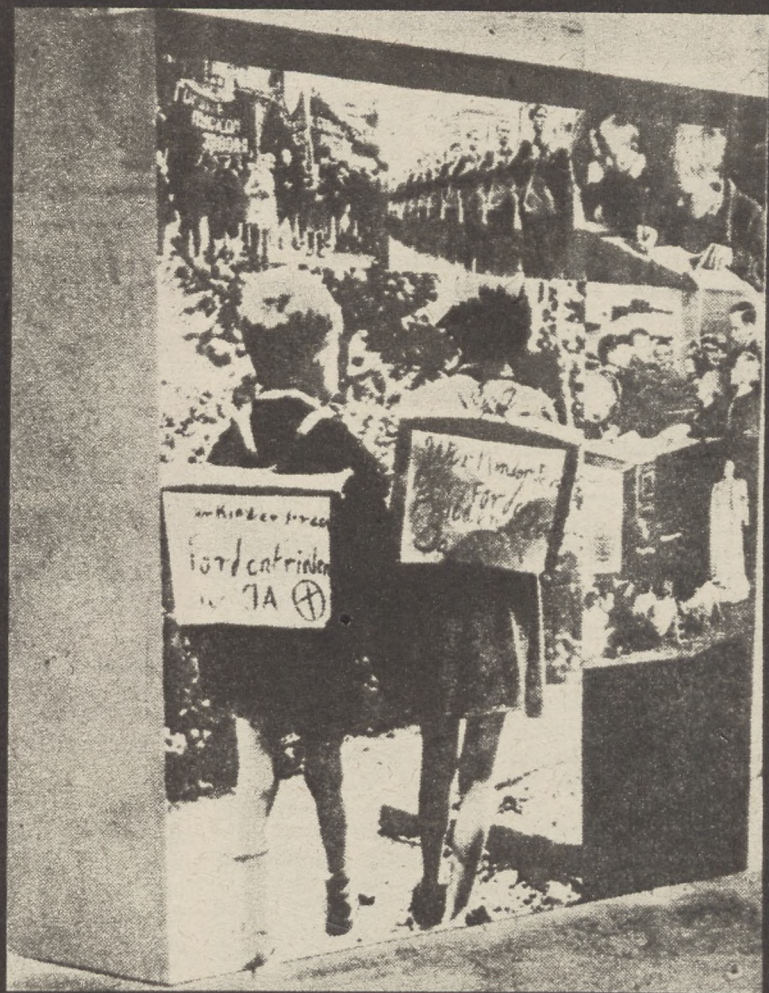
tradotto letteralmente, dice così: « Siamo stati obbligati



Bambini nella Germania orientale che recano scritte di propaganda sulle cartelle scolastiche. Si tratta di scritte che dicono: «Noi bambini chie-

cessa-  
mente  
la sua  
tempo  
naio  
facci  
coda  
zione  
appe  
fame  
con  
cond  
una  
odio  
in s  
crea  
volt  
di  
sov  
nar  
gar  
me  
der  
e d  
bo  
str  
sta  
gi  
all  
zi  
lib

Jeszcze jedno oszustwo. Zdjęcia dzieci z NRD (po prawej), na których można wyraźnie odczytać napis: „Wir Kinder fordern für den Frieden dein Ja“ (My dzieci domagamy się twojego Tak w obronie pokoju), zaopatrzone zostały podpisem „wyjaśniającym“, iż „W ten sposób tresuje się dzieci w nienawiści“. Zasklepiaj organizatorzy wystawy nie zwrócili uwagi, iż to samo zdjęcie opublikowane zostało w kwietniu br. przez reakcyjny tygodnik włoski „Epoca“ (po lewej), który opatrzył je prawdziwym przekładem hasła młodych niemieckich bojowników o pokój.



**Continuazione da str. 5**

wiesz wcale, że w Polsce ukazały się po wojnie już trzy nakłady twoich przygód, a w Budapeszcie odsłonięto niedawno w parku miejskim twój pomnik; zakazane są „Przemyślenia Tartarena“ — twoja błaga bohaterze z Taraskonu zbladła wobec wyczynów „strzelców“ z Rzymu; zakazane są „Przemyślenia barona Münchhausena“ — daleko im do nieprawdopodobnych historii „Mostra dell'Aldila“; Na indeksie jest „Ali Baka i 40 rozbójników“ — „No naturalnie — przyznał ksztusząc się ze śmiechu jeden z widzów wystawy — w tamtych krajach rozbójnicy siedzą przecież w więzieniach“; zakazany jest „Klub Pickwicka“ — drogi panie Samuelu, pokonał cię bezapelacyjnie inny poszukiwacz „prawdy naukowej“, signor Tupini; zakazany jest „Don Kichot“ — błędni rycerze muszą złożyć broń wobec no-

woczesnej techniki kłamstwa obłądnych rycerzy nienawiści; zakazany jest „Yankes na dworze króla Artura“ — czarodziej Merlin zzieleniałby z zazdrości patrząc na „cuda“ swoich watykańskich następców; zakazanych jest wiele jeszcze innych książek...

Co więcej, „autentyczni“ uchodzący zza żelaznej kurtyny wyjaśniają zwiedzającym wystawę najczystsza włoszczyzną powody, „dla których opuścili umiłowany kraj ojczysty“ (zwierzenia nagrane są na płyty). Fotografie dzieci — bojowników o pokój i jedność Niemiec, fotografie na których można doskonale odczytać napis w języku niemieckim: „Wir Kinder fordern für den Frieden dein Ja“, zaopatrzone komentarzem: „Tak podlega się dzieci do nienawiści“. Zdjęcie żandarmów Adenauera masakrujących pokojową manifestację robotniczą — nosi podpis: „Agenci Vopo (milicji ludowej w NRD) mordują demokratów z Niemiec zachodnich“. Plakat Niemieckiego Komitetu Obróńców Pokoju, któ-

ry głosi: „Święto Bożego Narodzenia jest świętem pokoju i rodziny, precz z układem ogólnym, naprzód do walki o traktat pokojowy“ — opatrzone podpisem: „Tak walczy się z religią w okupowanych przez bolszewików Niemczech wschodnich“.

W ten sam sposób „tłumaczone“ są napisy na plakatach i fotografiach z innych krajów demokracji ludowej. Minister Tupini sądził, że nikt w Rzymie nie zna języka niemieckiego, polskiego, rosyjskiego, czeskiego, węgierskiego, rumuńskiego, że nikt nie pozna się na fałszerstwie. Członek rządu potraktował swój naród jak bandę idiotów. Ale naród włoski to nie stado baranów, któremu można wmówić co się zechce. Naród włoski poznał się na oszustwie i na kretynską prowokację odpowiedział najboleśniejszą dla reakcji bronią — śmiechem.

**JÓZEF SOŁTYS**

Na „wystawie nienawiści“ kolportowana jest broszura propagandowa nie mniej oszukańcza i idiotyczna niż sama „mostra“. Autorzy broszury dowodzą na przykład (po lewej), że zarobek miesięczny robotnika radzieckiego wynosi 400 rubli miesięcznie, czyli około 12.000 lirów. Wprawdzie w półoficjalnym dzienniku „Messaggero“ opublikowana była w numerze z 14 kwietnia br. korespondencja z Moskwy amerykańskiej dziennikarki Helen Biddle, która pisała dosłownie: „Oto przykład zarobku: kobiecy zatrudnione w fabryce czekolady „Czerwony Październik“ zarabiają od 600 do 700 rubli miesięcznie. Specjaliści zarabiają do 1000 rubli miesięcznie. W pewnej piekarni, którą zwiedzaliśmy, najniższy zarobek wynosi 600 rubli miesięcznie, najwyższy 900 rubli“ — ale cóż to obchodzi chadackich fałszerzy. To jeszcze nie wszystko. Jak wynika bowiem z „cyfr zarobków“ jeden rubel równa się 30 lirom. Tymczasem parę kartek dalej ci sami autorzy podając wydatki Związku Radzieckiego na cele obronne w wysokości 113 miliardów rubli dowodzą, iż suma ta odpowiada 18.000 miliardów lirów — czyli jeden rubel równa się 159 lirom. Tupini jest, jak widać w niezgodzie nie tylko z prawdą, ale nawet z rachunkami. Nikt jeszcze dotąd nie zajechał daleko na podwójnej buchalterii i naród włoski pokwitował „rachunki Tupiniego“ śmiechem i pogardą

## SISTEMA ECONOMICO

In Russia non esistono più differenze di classe, non ci sono più ricchi e poveri: tanto è vero che un manovale sovietico guadagna circa 400 rubli al mese (l'equivalente di 12 mila lire) mentre un maresciallo sovietico guadagna un milione di rubli all'anno (cioè circa 30 milioni di lire) senza contare gli incerti. Come si vede tutti i signori sono stati eliminati salvo naturalmente i signori marescialli, i signori generali, i signori colonnelli, i signori generali del Partito, i signori artisti comunisti, i signori commissari della polizia segreta e i signori parenti



amici di tutti questi signori

Lo strano è però che nel bilancio russo, per le forze armate è prevista una spesa di 112 miliardi di rubli all'anno, pari a circa 18 mila miliardi di lire. Fatte le proporzioni tra la popolazione italiana e quella sovietica, la guerra-fondaia Italia dovrebbe spendere circa 5.000 miliardi all'anno, cioè dieci volte quello che spende oggi, per essere altrettanto « pacifica ».



# JUŻ SIĘ DYMI...

LISTY Z TRZECIEJ  
PŁASZCZYZNY

BRONISŁAW WIERNIK

**A**TYMCZASEM — ile zmian na tej naszej „Trzeciej Płaszczyźnie”. Coraz trudniej nadażyć...

Rozpoczął się ostatni etap. Weszliśmy już w okres najciekawszy, najbardziej dramatyczny i decydujący, w pełen nieustannego napięcia okres próbnego uruchomienia tego wszystkiego co już stoi zamontowane solidnie na swoim miejscu — tych wszystkich pomp, motorów, kotłów, transformatorów, maszyn skomplikowanych i różnorodnych, stalowych olbrzymów, precyzyjnych agregatów, urządzeń, zespołów. Jak zagrają — każde z osobna i wszystkie razem? Ile jeszcze może wyniknąć niespodzianek? Ile zaskoczeń? Czy wszystko da się z góry przewidzieć? „Jakie będzie?” pytają najbardziej doświadczeni rodzice, spodziewając się kolejnego dziecka. Zawsze może coś nieoczekiwanego wyniknąć. Przy każdym dziecku. Przy każdym silniku. A tym bardziej przy prototypach; przy urządzeniach dotąd u nas nie używanych, nie znanych, jeszcze nie zbadanych.

A rzecz w tym, że my tu na „Trzeciej Płaszczyźnie” nie chcemy się dać zaskoczyć.

— My chcemy oddać obiekt porządnie, kulturalnie, bez żadnych obciążeń, bez ukrytych grzeszków, które prędzej czy później i tak muszą wyjść na jaw — powiedział na jednej z odpraw minister Budownictwa Przemysłowego, Czesław Babiński, który już od pewnego czasu siedzi stale na budowie huty im. Bolesława Bieruta w Częstochowie.

„Porządnie, kulturalnie, bez obciążeń, bez ukrytych grzeszków...” Mowa o prawidłowym rozruchu obiektu przed oddaniem go do eksploatacji, aby wykluczyć jakiegokolwiek niespodzianki. Na „Trzeciej Płaszczyźnie” dojrzejają nowe formy rozruchu dotąd u nas w kraju nie stosowane. Cały sztab inżynierów pod kierownictwem ministra i przy udziale dyrekcji — zarówno generalnego wykonawstwa (Furtaka, Johanna, Kierstnowskiego), jak i inwestycji (inżyniera Kunca) — opracowuje te nowe formy prawidłowego rozruchu, instrukcje, schematy, harmonogramy, z których w najbliższej przyszłości korzystać będą budowniczy innych naszych wielkich budowli. Przed oddaniem do eksploatacji wszystko musi być sprawdzone w ruchu, najmniejszy wyłącznik, najdrobniejsze urządzenie. Po próbach indywidualnych nastąpi druga faza: właściwy rozruch — kompleksowy, mający na celu zbadanie, stwierdzenie, jak zachowuje się zespół urządzeń związanych ze sobą bądź procesem technologicznym, bądź też produkcyjnym. Próby odbywać się będą najpierw na tzw. biegu jałowym, a więc bez obciążenia, następnie pod obciążeniem częściowym, stopniowo zwiększającym się, wreszcie pod obciążeniem normalnym, roboczym. Ile emocji, ile odpowiedzialności na drodze rozruchu takich na przykład turbodmuchaw, pięknych radzieckich turbodmuchaw — od martwo stojących maszyn do maszyn pracujących na pełnych obrotach, 3500 obrotach na minutę. Albo przy pierwszej próbie uruchomienia takiego kolosa, jak most przeładunkowy, czy kotłów w siłowni.

„Na to wszystko patrzy się jeszcze, jak na martwą naturę” mówił dopiero co kierownik budowy, inż. Furtak, pokazując na krajobraz ze stali i betonu „Trzeciej Płaszczyzny”.

„Martwa natura” zaczyna ożywać. Spójrzcie, już się dymi. W kominie siłowni ukazał się dym, pierwszy dym na „Trzeciej Płaszczyźnie” (nie mówiąc oczywiście o dymiących parowozach). Zaczęło się właśnie suszenie pierwszego kotła. Przy tej sposobności poznajemy jeszcze jednego bohatera „Trzeciej Płaszczyzny”, majstra Stanisława Śmieszka. Majster Śmieszek jest właściwym kierownikiem obiektu. Nie raz słyszało się na budowie powiedzenie: „Śmieszek to robi”. I Śmieszek robił. Trzy kotły. Zegarmistrzowska robota, precyzyjna, wysokiej jakości. A fachowców do pomocy miał sześciu (nie licząc tych, których tu, na miejscu wyszkolił i których mu zabrano... na inne budowy). Majstra Śmieszka widziałem na odprawie kierowników grup regulacyjno-rozruchowych. A każdy „kociołek” majstra Śmieszka obliczony jest na ciśnienie kilkudziesięciu atmosfer (jedna atmosfera, przypomnijmy, to ciśnienie kilograma na jeden centymetr kwadratowy) i na temperaturę pary: 450 stopni.

Żeby mieć parę — potrzebna jest woda. Otóż to: na dwa dni przed rozpoczęciem suszenia pierwszego kotła w siłowni ruszyły pompy w pompowni nr 1. Czternaściego maja o godzinie jedenastej główny elektryk pompowni nr 1, Krzysztof Aleksander, dał napięcie, zagrały motory, ruszyły pompy, **RUSZYŁ PIERWSZY OBIEKT „TRZECIEJ PŁASZCZYZNY”.**

„Tyle wody... tyle wody...” mówił obecny przy próbie główny elektryk na budowie huty, inż. Kretkowski, i zacierał ręce w wielkim ukontentowaniu, on, największy wróg wody, człowiek, który stale powtarza: „Dla mnie woda — to największy wróg”, induktorem stale, nawet we śnie, uganiający się za najmniejszą kroplą wilgoci w przewodach, a podczas rzadkich wypadów do rodziny w Szczecinie, niech tylko deszcz zacznie dzwonić po szybach — już nie żałował spokoju i na miejscu nie uszedł: „Żeby tylko coś nie stało się na budowie...”

„Tyle wody... tyle wody...” powtarzał przy pierwszej próbie uruchomienia pompowni nr 1 największy wróg wody, elektryk Kretkowski, i zacierał ręce z zadowoleniem. Ujart-

miona, ujęta w dyscyplinę pomp ssąco-tłoczących, woda popłynęła posłusznie dwoma potężnymi rurociągami za naciskiem jednego małego guziczka. Już się kręcił!

„Ot tak” pokazuje dwudziestotrzyletni Krzysztof Władysław Skoczyński, Franciszko Eljarz i Marli Kowak, która dopiero skończyła szesnaście lat. Całą pompownię nr 1 obsługiwać będą — na każdej zmianie — dwie maszynistki pomp, jeden brygadzysta, jeden tablicowy. O stronie elektrycznej tłumaczy Krzysztof, który właśnie przyjechał z przeszkolenia w hucie „Florian”. O stronie mechanicznej — mistrz Józef Orzóg. Uczennice są bardzo pojętne.

Wielki piec to nie tylko żarłok nienasycony ale i pragnienie ma ogromne. Dla jednego tylko wielkiego pieca, częstochowskiego giganta hutniczego, potrzeba trzy razy tyle wody, co dla całego miasta Częstochowy.

— Nie — odpowiada na moje pytanie kierownik przyszłej gospodarki wodnej huty, Stefan Nowak — nie, huta nie skrzywdzi miasta, wręcz przeciwnie, pomoże, już pomogła: dzięki budowie huty im. Bolesława Bieruta w Częstochowie jest synem palacza kotłowni w Starachowickich Zakładach.

Oprawdając po swoim gospodarstwie, Nowak tłumaczy co to jest pompownia, do czego służy, jak pracuje (o czym — przy innej okazji). Kierownik przyszłej gospodarki wodnej huty im. Bolesława Bieruta w Częstochowie jest synem palacza kotłowni w Starachowickich Zakładach.

A tymczasem wszystko już przygotowane do wciągnięcia na most przeładunkowy wózka-suwownicy — serca mostu o wadze blisko 150 ton. Jeden tylko silnik waży blisko dwie tony a takich silników jest... zresztą mniejsza o to. Wystarczy powiedzieć, że taka na przykład opornikownia zainstalowana w wózku suwownicy mostu przeładunkowego mogłaby ogrzać blok mieszkalny objętości osiemnastu tysięcy metrów sześciennych. Ta jedna suwnica — to kolosalna budowa, dla której samego sprzętu elektrycznego zużyto z górą czterdzieści sześć ton. Kilometry drutu, zwójów, przewodów zainstalowanych na drobnych, maleńkich odcinkach.

— Możecie sobie wyobrazić, jak się chłopcy musieli namęczyć — powtarza już po raz któryś inż. Pokas i za każdym razem dodaje: — A robota cichutka, której nikt nie widzi, bo jest otulona, to nie to co na przykład podnoszenie mostu, nie, Janek?

Janek, to Szajner, majster Jan Szajner, który razem z inż. Pokasem pracuje od samego początku istnienia ZUD-u, Zarządu Urządzeń Dźwigowych, i pamięta jeszcze te czasy zresztą niedawne, kiedy ani kadr nie było ani warsztatów, a narzędzia, przeważnie własne, przynosiło się do pracy w teczce. „Pamiętasz, Janek?” Tak, właśnie mają dwa lata od montażu części elektrycznej pierwszej suwnicy — to było w Nowej Stalowni na Rakowie — pierwszej suwnicy przyszłego kombinatu hutniczego w Częstochowie. Dużo się zmieniło tymczasem. Ich grupa wyrosła, rozwinęła się, okrzepła. Nauczyli się, jak mówią, fachu, nadal się uczą. Teraz chcą przejść na trakcje elektryczne ogólnie pojęte, chcą montować taśmy, wywrotnice, transportery. Ambicje mają coraz większe. „Po co sprowadzać za granicą za dewizy, kiedy możemy zrobić sami... wszystko leży w możliwościach inżyniera”. „I robotnika” — poprawia stary majster Szajner. „To wszystko jest jedno” wola inż. Pokas. „Szkoda — mówi — że nie możecie poznać Gęgotka, Szczepana Gęgotka, naszego spawacza, naszego przyjaciela, niejedno nam pomógł zrozumieć; przedwojenny komunista, bardzo skromny — wczoraj nam zachorował”.

Wszystko już gotowe do wciągnięcia wózka-suwownicy. Na baraku „Mostostalu” ukazał się napis: „Montażowcy, wyteżmy wszystkie siły, aby dotrzymać terminu ukończenia mostu przeładunkowego”. Do wciągania wózka pozostali najofiarniejsi: Naparlik, Salamon, Łączak, Smykła, Motyl, Franke, Rybakiewicz, Guziel, Bednarek, Pruciak, Majdański, Kubik, Dawidowicz, Sawicki, Surowiec... „Wszystkich trzeba wymienić” nalega inż. Kuźmiński. Jeśli dziś wciągną — Pisarek, kierownik obiektu „Most Przeładunkowy”, Pisarek będzie mógł wreszcie pojechać na niedzielę do swojej rodziny w Chorzowie — po raz pierwszy od pięciu tygodni.

A czas już najwyższy — ruda i koks już muszą zacząć nadchodzić. Przed uruchomieniem naszego wielkiego pieca nr 1 trzeba zgromadzić zapas na co najmniej trzy tygodnie, co oznacza w pierwszych czasach przywóz i wyładunek na składowisko pięć do sześciu pociągów po sześćdziesiąt wagonów na dobę. Ćmielewskiemu z Robót Inżynieryjno-Wodnych następuje na piąty Balcer, który kładzie tory. Coraz trudniej dogadać się z któryś z nich.

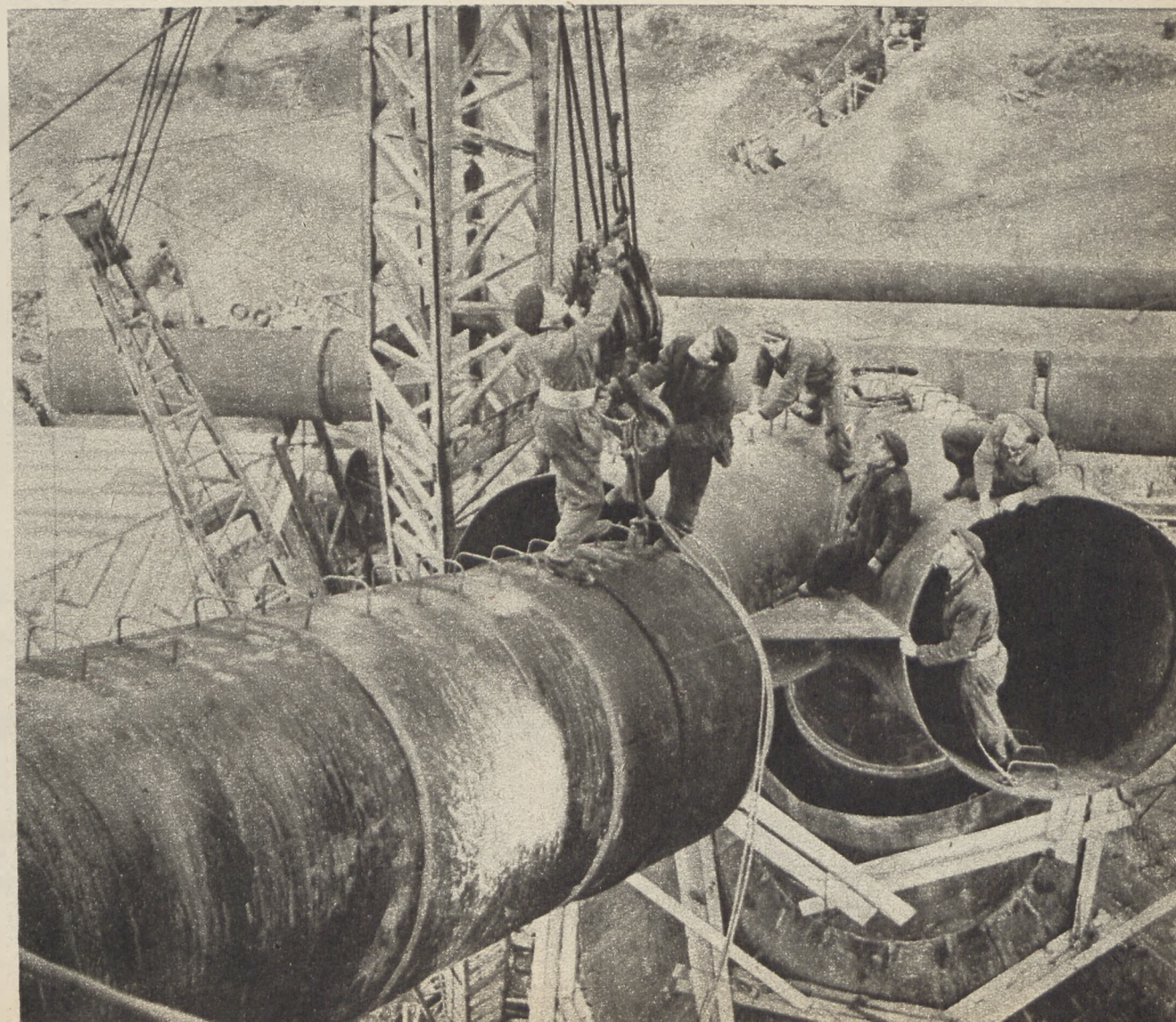
Coraz trudniej dogadać się z którymkolwiek. Budowa weszła w godzinną koordynację. Każda rozmowa zaczyna się i kończy słowem „harmonogram”. Na wszystkich odcinkach odbywa się codzienna kontrola pod hasłem: „Zadań dobowych nie wystarczy wykonać w stu procentach, trzeba je wykonywać z nadwyżką — pamiętajcie o rezerwach na nieprzewidziane okoliczności”. Dawno już skończyły się akademickie spory i dyskusje między generalnym wykonawcą a inwestorem na temat „kto winien” — zaczęła się prawdziwa, serdeczna współpraca, która daje owoce...

I ciekawe, że właśnie w tym okresie, można powiedzieć w przeddzień zakończenia wielkiego etapu: uruchomienia wielkiego pieca nr 1 — na niektórych odcinkach, tych najważniejszych, miały miejsce niespotykane dotąd na „Trzeciej Płaszczyźnie” wypadki pijactwa podczas pracy. Przypadek? Nie. Świadoma robota wroga, który zawsze w decydujących momentach usiłuje podnieść łeb. Na szczęście na „Trzeciej Płaszczyźnie” nie zapomina się o istnieniu wroga...

A Walendzikowi, sekretarzowi Oddziałowej Organizacji Partyjnej „Mostostalu” powinszować: został dziadkiem.

Fot. W. Białony

Decyduje każda godzina! Na „Trzeciej Płaszczyźnie” obowiązuje hasło: Zadań nie wystarczy wykonać w stu procentach, trzeba je wykonać z nadwyżką — pamiętajcie o rezerwach na nieprzewidziane okoliczności!





# KSIĄŻKI SZUKAJĄ

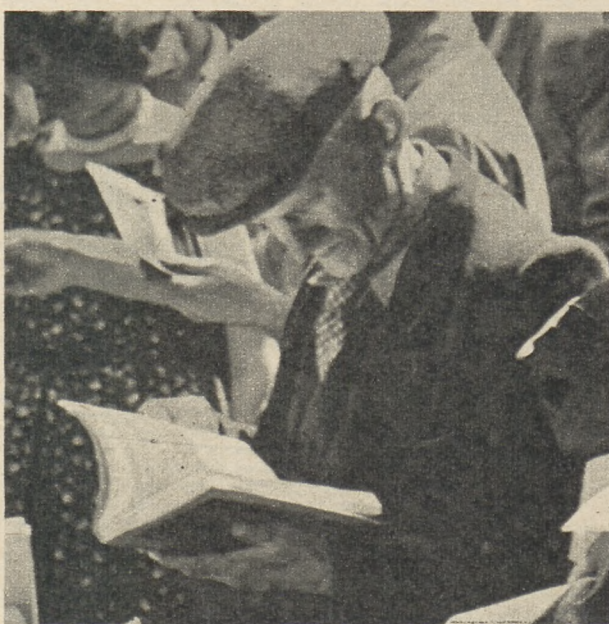
Fot. W. PRAŻUCH

**J**UŻ od kilku lat podczas Dni Oświaty, Książki i Prasy na ulicach miast, miasteczek, a także i wsi odbywają się kiermasze książkowe. Ich masowy charakter, rozmach, popularność wśród społeczeństwa — wszystko to sprawiło, że urosły one do miary wielkiego, ogólnopolskiego wydarzenia, nabrały znaczenia narodowej tradycji. Powiedzieliśmy, że odbywają się od kilku lat, a przecież wciąż jeszcze zadziwiają swoją nowością, swoją odmiennością od tego wszystkiego, co działo się w Polsce kapitalistycznej, w państwie, które nie potrafiło dać masom pracującym już nie tylko dostatecznej ilości książek, ale nawet dostatecznej ilości chleba. Dzisiaj na tych samych ulicach, gdzie niegdyś gromadzili się demonstrowający bezrobotni, gromadzą się radosne tłumy — robotnicy, studenci, wojskowi, dzieci — po to, aby dokonać wyboru książki. A jest w czym wybierać: w latach 1945—1952 ukazało się ogółem 32.813 pozycji wydawniczych w łącznym nakładzie 510.000.000 egzemplarzy. Na bieżący rok przewiduje się dalszy wzrost produkcji książkowej: 4.407 nowych pozycji. Rośnie produkcja książek i coraz bogatsze stają się formy jej kolportażu. Kiermasze książkowe są doskonałym środkiem realizacji zasady: z dobrą, estetyczną i taną książką trzeba wyjść naprzeciw nowego czytelnika, szukać go, a nie czekać, aż przyjdzie do księgarni. To zadanie kiermasze podczas Dni Oświaty, Książki i Prasy spełniają w całej pełni.

Co wybrać? Takie pytanie zadają sobie także i dzieci. Tyle tu książek, każda z nich kusi piękną szatą graficzną



Na polskim kiermaszu można kupić także książki chińskie: w kiosku Międzynarodowego Klubu Książki...



Książka jest pomocą w socjalistycznej przebudowie wsi: dotąd wyszło 11 mil. egz. wydawnictw rolniczych.



Największą popularnością cieszy się literatura marksistowsko-leninowska (wydaliśmy 1.791.000 egzemplarzy).

Tłumy przy każdym kiosku. Jest to najlepszy dowód, że książka stała się już u nas artykułem pierwszej potrzeby, masowym, niezbędnym i dostępnym dla wszystkich. W Polsce sanacyjnej dzieła wartościowe ukazywały się w niewielkich, kosztownych wydaniach, z drugiej zaś strony rynek załany był brukową „sensacyjną” szmirą.





Poważny zakup! Każdej niedzieli, kiedy czynny jest kiermasz książkowy przy Al. Stalina w Warszawie, spotkać możemy dziesiątki osób wracających z naręczem książek...

Trochę emocji i jeszcze większa korzyść. Loteria książkowa w kioskach ulicznych jest jedną z atrakcyjnych form rozprowadzania książek, szczególnie wśród najmłodszych.



„ŚWIAT” przypomina!

## JAK DAWNIEJ CZCZONO W POLSCE PAMIĘĆ KOPERNIKA

**T**YGODNIK ILUSTROWANY“ w numerze z 17 lutego 1923 roku, w czterysta pięćdziesiątą rocznicę urodzin Mikołaja Kopernika, w artykule prof. Banachiewicza, ówczesnego dyrektora Krakowskiego Obserwatorium, podaje ciekawe szczegóły z historii astronomii w Polsce.

„Astronomię praktyczną uprawiano w Krakowie już w wiekach średnich, w epoce świetnego stanu gwiazdztwa w Akademii Krakowskiej. Już w 1444 r. niejaki Jan z Olkusza, ubogi uczeń Akademii, pisze do egzaminu na stopień magistra rozprawę o astrolabiach i kwadrantach, która świadczy, iż autor używał sam tych narzędzi. Wykład „De constructione et usu astrolabii“ wchodził, według prof. Birkenmajera, w stały program nauki astronomii na Uniwersytecie Krakowskim, a Marcin z Olkusza w końcu XV wieku posiadał w Krakowie astrolabie, które obecnie są przechowywane w skarbcu Obserwatorium Krakowskiego. Jest zupełnie możliwe, że za pomocą tych właśnie narzędzi zaprawiał się do obserwacji Kopernik, który po czteroletnich studiach opuścił Kraków w r. 1495, a, według świadectwa Rhetyka, występuje w r. 1497 w Bolonii już nie jako uczeń, lecz raczej jako pomocnik astronoma Dominika Marii. Niestety, po reformie Kopernika, w Polsce nie uznanej, mamy do odnotowania u nas zastój w rozwoju astronomii. Matematyk i astronom Jan Brożek (zm. 1652) ofiarowuje Kollegium Większemu astrolabię, a testamentem zapisuje 1/3 dochodu z sumy 3000 złotych na książki i narzędzia astronomiczne.

„W drugiej połowie XVIII stulecia daje się zauważyć w Polsce coraz to żywsze zainteresowanie astronomią praktyczną, aż w roku 1780 Kołłątaj zapowiada założenie w Krakowie obserwatorium uniwersyteckiego. Jednocześnie napływają dary dla przyszłego obserwatorium: od króla Stanisława Augusta (miedzy innymi luneta Dollonda, niekiedy i obecnie jeszcze używana) i od ks. Szembeka reflektor. W r. 1783 Sniadecki przywozi z Poznania narzędzia pozostałe tam po jezuitach i wreszcie 17 lutego 1787 r. Szkoła Główna Koronna postanawia, aby zaraz na wiosnę rozpocząć „fabrykę“ domu z salą na Obserwatorium fizyczne i astronomiczne, podług „planty“ podać się mającej przez Radwańskiego. Mury Obserwatorium wzniesiono istotnie w r. 1787, ale, niestety, skutkiem nieobecności Sniadeckiego zmieniono jego pierwotny plan i dano zbyt cienkie mury i zbyt wąskie sklepienie pod salą do obserwacji. Otwarcie Obserwatorium nastąpiło 1 maja 1792 r. i w tymże dniu rozpoczęto szereg regularnych obserwacji meteorologicznych, przerwanych później na czas powstania w r. 1794. Od r. 1797 do r. 1803 zarządzający zakładem Sniadecki był całkowicie oddany astronomicznym spostrzeżeniom i rachunkom“.

W artykule redakcyjnym w tym samym numerze „Tygodnik Ilustrowany“ kreśli dalsze losy astronomii polskiej. Podkreślając rozwój astronomii, jaki w XIX wieku zaznaczył się zarówno w Europie Zachodniej, jak i w Rosji, „Tygodnik“ ubolewa nad faktem, iż tylko u nas, w kraju Kopernika, w tym samym czasie nauka astronomii upada:

„I był w tym tragizm niemały. Bo jednak, mimo wszystko, mieliśmy astronomów - Polaków, tylko albo emigrowali oni na obczyznę i tam pracowali jako uczeni krajów, które im dały gościnę, albo marnowali swoje przygotowanie naukowe i zdolności w Ojczyźnie, która nie mogła im dać odpowiednich warsztatów pracy. Tak prof. M. Kowalski, członek honorowy Tow. astronomicznego w Londynie, inicjator rozpowszechnionych obecnie w Rosji ważnych spostrzeżeń okultacji, pracował przez całe życie w Kazaniu. A. Prażmowski, znany jako konstruktor narzędzi optycznych, od r. 1863 przebywał w Paryżu. W. Cesarski, fotometryk, był profesorem w Moskwie.

„Jednocześnie w kraju wegetował przy Uniwersytecie Warszawskim na drugorzędnym stanowisku prof. Kowalczyk. W Krakowie marnował swoją wiedzę i zapal do nauki dr Daniel Wierzbicki, który wspólnie z d-r'em Karlińskim próżno usiłował postawić to obserwatorium na poziomie wymagań nowoczesnych.

„W takim stanie zastała naukę astronomii w Polsce wojna (1914-18 — przyp. red.) i w takim stanie odziedziczyło ją wskrzeszone państwo polskie na przeznaczonych dla niej placówkach uniwersyteckich — pisze „Tygodnik Ilustrowany“. Smutny stan naszego skarbu nie pozwolił oczywiście na wyznaczenie sum odpowiednich na zakup choćby tylko najkońniejszych narzędzi dla obserwatorium w Krakowie, Warszawie, Lwowie i Wilnie. W stanie zaś, w jakim znajdują się obecnie, obserwatoria te nie mogą zadań swoich spełnić. I nie ma złudzeń co do tego, że ten rozpaczliwy i upokarzający dla nas stan astronomii w Polsce trwać będzie tak długo, jak sobie długo społeczeństwo polskie nie uświadomi, że jego obowiązkiem jest rozbudzić w sobie ambicję do zaopiekowania się tą właśnie nauką... nie czynimy nic, co świadczyłoby przed innymi narodami o tym, że łączymy nas z Kopernikiem coś więcej niż zdawkowy kult jego imienia, że treść jego myśli i ducha nie jest nam także obca, a nauka, której on służył, ma u nas zrozumienie i cieszy się naszym poparciem“.

„Jesteśmy opóźnieni o całe stulecia“ — kończy swe rozważania „Tygodnik Ilustrowany“ smutnym wnioskiem.

Warto przypomnieć te gorzkie uwagi dziś, kiedy my w Polsce Ludowej odrabiamy wielowiekowe zacofanie nie tylko w dziedzinie astronomii. Nauce Wojciecha z Brudzewa i Kopernika zapewniłoby świetne warunki rozwoju i w ten sposób najgodniej czcimy pamięć naszego genialnego astronoma.

# OPIEKUN TWÓRCZEJ BIOLOGII

WŁODZIMIERZ MICHAJŁOW

Profesor Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego, zastępca sekretarza Wydziału II P.A.N.

**S**TALIN nie był specjalistą-biologiem w tradycyjnym rozumieniu tego pojęcia. Ale był wielkim marksistowskim filozofem i myślicielem, i dlatego odkrycia Jego mają decydujące znaczenie dla przyrodoznawstwa.

Nauka Stalina o obiektywnym charakterze praw rozwoju i społeczeństwa, ze szczególną jasnością i dobitnością ujęta w Jego dziele „Ekonomiczne problemy socjalizmu w ZSRR“, uzbraja biologów do walki z subiektywistycznymi wypaczeniami w ich dziedzinie wiedzy. W oparciu o tę naukę rozgromiony został w Związku Radzieckim wsteczny mendelizm-morganizm\*), wykazany został reakcyjny charakter tej doktryny, prowadzącej biologię na manowce idealizmu i powiązanej ze skrajnie reakcyjnym maltuzjanizmem (fałszywą teorią o rzekomym przeludnieniu kuli ziemskiej jako głównej przyczynie nędzy mas ludowych w krajach kapitalistycznych), jak również ze zbrodnictwami, rasistowskimi poglądami, mającymi szerzyć nienawiść między narodami. Udowodniono, że mendelizm-morganizm jest oderwany od praktyki rolnictwa i hodowli i w tej dziedzinie nie wnosi nic twórczego. Nowa, materialistyczna biologia miczurinowska, zrodzona w Związku Radzieckim, promieniować zaczęła na kraje obozu postępu, porwała także umysły postępowych biologów krajów kapitalistycznych. Biologia miczurinowska wykazując zmienny charakter dziedziczności, kształtującej się pod wpływem środowiska bytowania organizmów, daje człowiekowi środki kierowania zmiennością organizmów; tym samym jest potężnym czynnikiem w walce o planowy rozwój socjalistycznej gospodarki rolnej, jest ścisłe związana z praktyką.

Materialistyczna, marksistowska biologia odśladania bezpodstawność i antynaukowy charakter usiłowań, zmierzających do uzasadnienia fatalistycznej nieuchronności wojen, będących rzeko-

mo przejawem biologicznej walki o byt, a więc potrzebnych i pożytecznych choćby dlatego, że zapobiegają „przeludnieniu“ kuli ziemskiej; odśladania bezpodstawność usiłowań, zmierzających do „zastępowania“ praw rozwoju społecznego prawami biologii.

W dziele swym „Ekonomiczne problemy socjalizmu w ZSRR“ Stalin stwierdza, że jedną z podstawowych różnic pomiędzy prawami ekonomii politycznej a prawami przyrody jest mniejsza długowieczność pierwszych w stosunku do praw przyrodniczych. Przed biologami, jako badaczami jednej z wyższych form ruchu materii, zajmującymi się prawami powstania i rozwoju życia, stoi zadanie rozwinięcia tej tezy Stalina w swojej dziedzinie wiedzy.

Podstawą udziału biologii w dziele przeobrażenia przyrody są wskazania Stalina o możliwości i konieczności aktywnej postawy człowieka wobec obiektywnie, niezależnie od naszej woli działających praw przyrody, po których odkryciu i poznaniu ludzie „uwzględniając je i opierając się na nich, umiejętnie je stosując i wykorzystując, mogą ograniczyć sferę ich działania, nadać niszczyliściłom przyrody inny kierunek, obrócić niszczyliścił siły przyrody na pożytek społeczeństwa“.

W myśli Stalina zrodzone i Jego wolą zapoczątkowane wielkie plany przeobrażenia przyrody w oparciu o poznanie jej praw i skierowanie ich działania na pożytek społeczeństwa socjalistycznego — ukazują biologom nie tylko drogę badania, ale także drogę działania w ścisłym powiązaniu z wysiłkami narodów budujących socjalizm i komunizm.

\* \* \*

Musimy również pamiętać o ogromnej osobistej pomocy Stalina dla nowych, przodujących kierunków w biologii, które rozwinęły się w ciągu ostatnich dziesięcioleci, o doniosłej roli Jego bezpośrednich wskazań dla ich rozwoju.

Partia Lenina — Stalina stworzyła wielkiemu nowatorowi myśli biologicznej, Miczurinowi, ogromne możliwości twórczej pracy, pomogła mu założyć podwaliny nowej materialistycznej biologii.

Stalin otoczył osobistą opieką przodującą biologię miczurinowską, podobnie jak agrobiologię — nową naukę, zrodzoną ze ścisłego powiązania teorii biologicznej z praktyką rolniczą. Historyczna sesja Wszechzwiązkowej Akademii Nauk Rolniczych, zorganizowana w roku 1948 z inicjatywy Stalina, miała przełomowe znaczenie dla dziejów biologii. Podstawowy referat akademika Trofima Łysenki „O sytuacji w biologii“, wygłoszony na tej sesji, był przedmiotem głębokiej uwagi Stalina, a Jego wskazówki pomogły autorowi lepiej sformułować podstawowe założenia twórczego darwinizmu — przodującej obecnie teorii ewolucji. Dzięki pomocy udzielonej przez Stalina materialistyczna biologia odniosła na tej sesji całkowite zwycię-

stwo nad wstecznym mendelizmem-morganizmem. Od tego czasu datuje się zwycięski pochód biologii miczurinowskiej i agrobiologii nie tylko w Związku Radzieckim, gdzie nauka ta uczestniczy aktywnie w budownictwie komunizmu, ale też we wszystkich krajach obozu postępu i pokoju.

Otoczony opieką partii Lenina — Stalina, tworzył swe największe dzieła genialny fizjolog Iwan Pawłow. Jego materialistyczna nauka o wyższych czynnościach nerwowych, o istocie pracy mózgu, kontynuowana i rozwijana w ogniu szerokich dyskusji naukowych przez licznych jego uczniów, nie tylko stanowi — obok twórczego darwinizmu — szczytowe osiągnięcie współczesnej myśli biologicznej, ale też poprzez medycynę służy wielkiej sprawie ochrony zdrowia mas ludowych.

Wytrwała walkę przeciwko reakcyjnej teorii komórkowej Virchowa, hamującej rozwój biologii i medycyny — prowadziła aż do zwycięstwa Olga Lepieżyńska, uzbrojona w słowa Stalina o nauce, która śmiało łamie stare poglądy, tradycje i normy z chwilą, gdy stają się one przestarzałe, gdy hamują postęp nauki. Twórczy darwinizm, biologia miczurinowska, kompleks agrobiologiczny Dokuczejewa — Wiliamsa — Miczurina — Łysenki, ujmujący naukę o glebie, jej uprawie, oraz nauki o produkcji rolniczej, roślinnej i zwierzęcej, fizjologia pawłowowska, nauka Lepieżyńskiej o powstawaniu komórek z bezkomórkowej substancji żywej, teoria powstawania życia Oparina — najbardziej postępowe i płodne kierunki w biologii, ogarniające zarazem kluczowe problemy tej dziedziny wiedzy, wyrosły w oparciu o filozofię marksistowską, którą Stalin uczył twórczo stosować we wszystkich gałęziach ludzkiego poznania. Rozwinęły się one w warunkach troskliwej opieki, udzielanej przez Niego nauce kraju socjalizmu, korzystały nieraz z bezpośrednich Jego wskazań i wytycznych.

Dokonanie analizy wpływu myśli Stalina na rozwój materialistycznej biologii jest tedy naszym obowiązkiem, którego wykonanie uzbroi biologię do dalszych zwycięstw.

Chciałbym — kończąc — wyznać, iż najdroższą dla mnie właściwością Stalina, jako wielkiego uczonego, jest genialna, mądra prostota i jasność bijąca z każdej stronicy Jego dzieł. Nie ma w nich drobiazgowej, przyczynkarsko-erudycyjnej dokumentacji, szczegółowej analizy wszystkich możliwych, jakże często niedorzecznych, poglądów na każdą kwestię. Nie ma całego tradycyjnego, przestarzałego tzw. aparatu naukowego, zaśmiecającego tak wiele grubych tomów, osłaniającego — jakże często — brak istotnej, twórczej myśli naukowej.

Myśl Stalina prosto i zdecydowanie mierza zawsze do tego, co jest w danym procesie i zjawisku najistotniejsze i najważniejsze. Dlatego dociera niezawodnie do prawdy, ukrytej dotąd przed oczyma innych, prawdy, która wyrażona słowami Stalina staje się oczywista i bezsporna. Krańcowo jasne i proste sformułowania, zawarte w tekstach naukowych Stalina, stanowią szczytowy wyraz syntezy naukowej w stosunku do każdego badanego przez Niego zagadnienia. Obejmują one w sposób niezawodny i pewny olbrzymi obszar faktów i zjawisk, są tedy wyrazem niezwyklej erudycji.

Mądra prostota myśli, jako wynik rozległej i wszechstronnej wiedzy, niezawodna pewność uogólnień jest właściwością geniuszu Stalina jako wielkiego meża nauki.



Dom Zegadłowicza w Gorzeniu  
Fotografia z lata 1932 r.

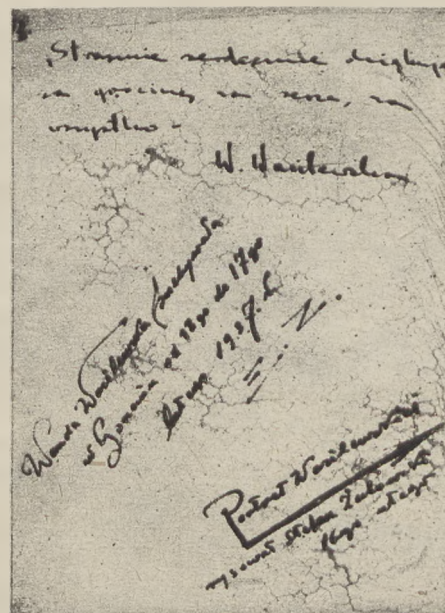
**E**MIL ZEGADŁOWICZ, autor dramatu pt. „Domek z kart“, którego prapremiera stała się ostatnio doniosłym wydarzeniem w życiu naszego teatru, był jedną z najbardziej znanych postaci w literaturze lat międzywojennych. Twórczość jego była niezwykle różnorodna i niezwykle bogata; wystarczy powiedzieć, że zostawił po sobie prawie sto pozycji bibliograficznych.

Kim był Emil Zegadłowicz, poeta, dramaturg, powieściopisarz i nieprzejętnej miary tłumacz Goethego? Jakże były dzieje życia tego człowieka, który dziś, w dwanaście lat po śmierci, ołsnął nas dramatem uznanym przez krytykę za „niezwykłe wydarzenie“, za dzieło „przemawiające pełnym, donośnym głosem sztuki bojowej, walczącej“. Co leżało bezpośrednio u podstaw ostatniego etapu twórczości Emila Zegadłowicza, który przemówił głosem „mającym siłę poruszyć najgłębsze struny myśli i uczuć także współczesnego widza“.

Przeglądając przedwojenne czasopisma literackie, względnie prace z dziedziny krytyki, niejednokrotnie napotykałyśmy nazwisko Zegadłowicza. Emil Zegadłowicz był kolejno twórcą ballad i misterii, opartych na motywach ludowych z Beskidu, z okolic Gorzenia Górnego, w którym mieszkał. Był Emil Zegadłowicz twórcą naturalistycznych



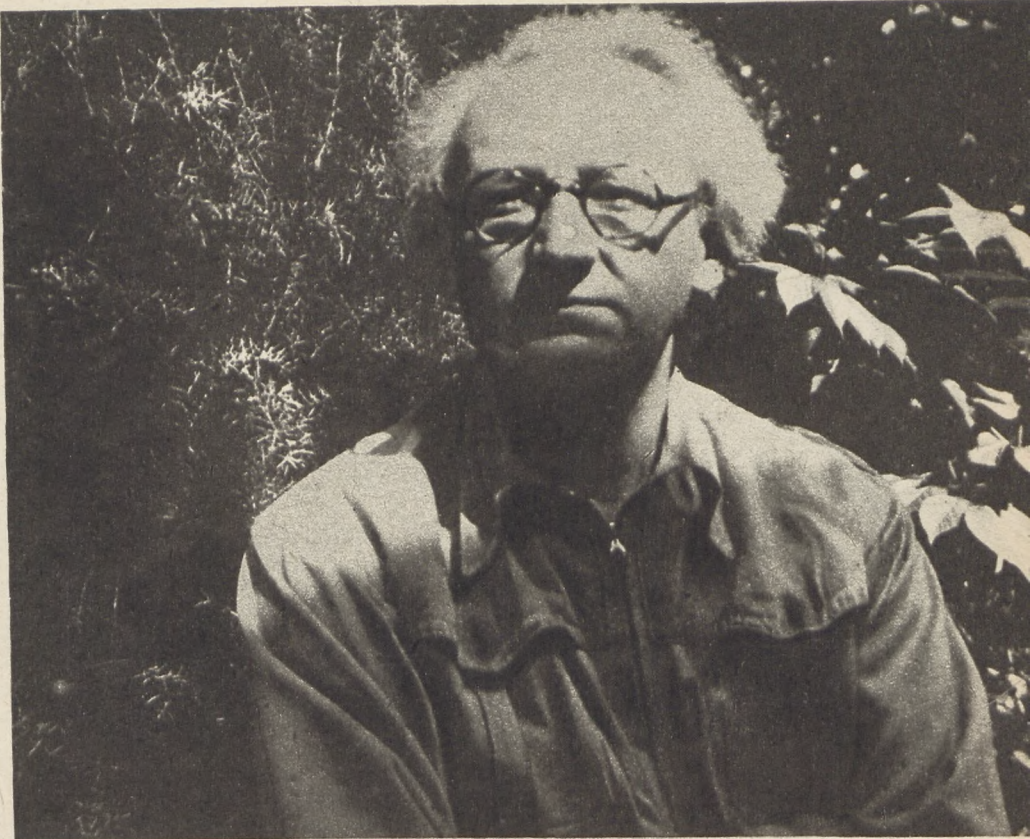
Fot. W. Stawny



Wpis Wandy Wasilewskiej, poniżej notatka Emila Zegadłowicza.

ANDRZEJ PIWOWARCZYK

# NAD „KSIĘGĄ GORZEŃSKĄ”



Emil Zegadłowicz w lecie 1938 r.

i w dużym stopniu „skandalicznych” powieści, noszących tytuły „Zmory” i „Motory”. Gdzieś do roku 1930 uwielbiany przez kler i przedstawicieli wstecznych nurtów w krytyce — Zegadłowicz stał się następnie jednym z pisarzy polskich najbardziej znienawidzonych przez obóz wstecznictwa. W latach Frontu Ludowego — spotykamy nazwisko Zegadłowicza na licznych deklaracjach, oświadczeniach i protestach, wydawanych przez pisarzy postępowych. Mamy w twórczości pisarza na przestrzeni lat 1918 — 1939 — elementy postępowe, ale jest też jego twórczość obrazem wielu zagmatwań ideowych i światopoglądowych. Analizując je, trudno byłoby dać jasną, konkretną odpowiedź na pytanie: dokąd prowadziła droga tego jednego z najwybitniejszych naszych twórców o kresu przedwojennego i jaki mógłby być ostatni etap tej drogi?

Dzięki prapremierze „Domku z kart” w Teatrze Współczesnym w Warszawie, dzięki temu, że ostatnie dzieło Zegadłowicza (bo nie wiadomo, czy uda się jeszcze odnaleźć powieść pt. „Progi” oraz dramaty „Wasz korespondent donosi” i „Sind Sie Jude?”) — ocalało szczęśliwie — otrzymaliśmy obraz końcowej fazy przemian twórczych pisarza. Ale czy tylko to decyduje i zadecyduje w ostatecznym stopniu o jego pozycji w życiu kulturalnym okresu międzywojennego? Czy „Domek z kart” w twórczości Zegadłowicza jest przypadkiem, czy — żeby tak powiedzieć — „wyskoczył sam z siebie”? Na to pytanie daje nam szczegółową odpowiedź odnaleziona właśnie: „Gorzeńska Księga Ludzi i Zdarzeń”, pamiętnik życia i zdarzeń w domu Zegadłowiczów w Gorzeniu Górnym pod Wadowicami.

Znajdujemy w tej księdze niekiedy z dnia na dzień notowane wrażenia samego pisarza i znajdujemy wypowiedzi ludzi, którzy go odwiedzają. Mamy tu utwory poetyckie, rysunki, akwarele, fotografie i podobizny osób Zegadłowiczowi najbliższych, i tu właśnie spotykamy się z dokumentami, mogącymi nam wyjaśnić więcej, aniżeli moglibyśmy bez znajomości tych dokumentów przypuszczać. „Wyjeżdżam stąd mocniejszy i ufniejszy w tę jutrzeńkę (nie znajduję teraz mniej patetycznego wyrazu), która przyjąć musi niebawem, jak mi Pan to w pierwszym liście napisał. Pańskie niczym nieskrępowane pióro pisarza-demokraty odegra przy budowie Wolności swoją nieocenioną rolę” — pisze jeden z licznych gości Zegadłowicza.

Wpisów podobnej treści znajdujemy w „Księdze Gorzeńskiej” znacznie więcej...

Właśnie taką atmosferą prześiąknięty jest dom Zegadłowicza w Gorzeniu Górnym: atmosferą niezachwianej wiary i walki.

Należy przypuszczać, a raczej wiadomo na pewno, że recenzenci „Domku z kart” — nie znali „Księgi Gorzeńskiej”, ale przecież dobrze wyczuli to wszystko, czym pisarz żył w ostatnich latach przed rozpadnięciem się „domku z kart”. „Jakiż żal przejmują widzów, że Emil Zegadłowicz nie doczekał dni wyzwolenia, nie doczekał nowej Polski, nie mógł wziąć udziału w budowie tej czerwonej

Warszawy, w której tak gorąco, tak żarliwie pragnął się spotkać z ludźmi, mówiącymi do innych ludzi: towarzyszu...” — napisał niedawno Jaszcz w „Trybunie Ludu”, recenzując prapremierę w Teatrze Współczesnym. Te słowa nabierają pełnej treści właśnie przy przeglądaniu „Księgi Gorzeńskiej”, która kiedyś będzie jednym z najciekawszych dokumentów, obrazujących dzieje części naszej uczciwej, postępowej inteligencji w warunkach państwa burżuazyjnego, w warunkach sanacyjnego „domku z kart”.

Droga Emila Zegadłowicza, który — jak mówili do siebie nasi dramatopisarze w kuluarach prapremiery „Domku

z kart” — „dał nam takiego łupnia, że nikt by się tego nie spodziewał” — droga Zegadłowicza w stronę Polski socjalistycznej, której nie doczekał — była drogą żmudną, skomplikowaną i zawiłą. Zegadłowicz łamał się i — jakbyśmy dziś powiedzieli — „rósł” i „dorósł”. Zostawił po sobie nie tylko trwałe wspomnienia w przeszłości, ale i dziś ugruntował swoją pozycję pisarza postępowego w trudnych i wymagających więcej wysiłku niż kiedykolwiek warunkach naszego narodowego marszu do socjalizmu.

Znamy już ostatnie dzieło pisarza — dzieło trwałe i mocne jak mało innych w naszym teatrze — „Domek z kart”. Warto przypomnieć również wypowiedzi Zegadłowicza, zachowane w dokumentach z roku 1940 (zmarł w Sosnowcu 24 lutego 1941 r.). Oto co pisał Emil Zegadłowicz:

„Polska oficerska, pułkownikowsko-generalska, Polska jednostki, nie ma — lecz Polska kliki i koterii — upaść musiała”.

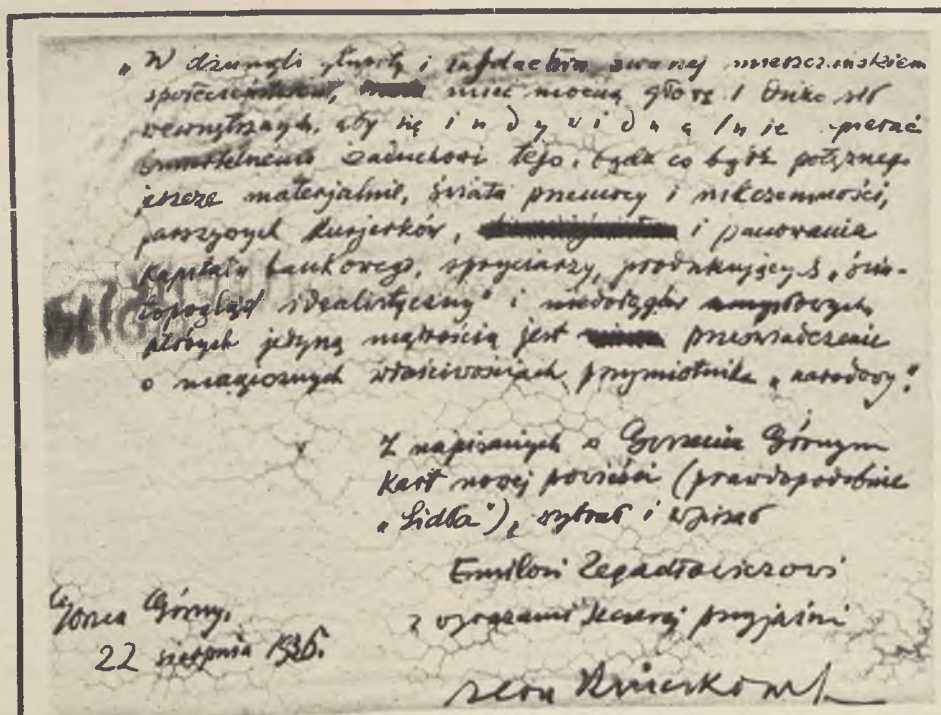
„Rekreowanie starego Państwa Polskiego jest bezużyteczną fikcją; natomiast musi istnieć Republika wielomilionowego uświadomienia robotniczo-chłopskiego” 18.II.1940.

„Polska taka, jaka była w swym dwudziestoletnim istnieniu, była nikomu, ani narodowi, ani idei jakiegokolwiek, ani ludzkości — niepotrzebna. Przeciwnie — stała się ośrodkiem reakcji, klerykalizmu, serwilizmu, niedoli chłopów, ucimieniem robotników...” 19.II.1940.

„Z założeń swoich będzie Polska Nowa wysoko wznosić godność ludzką, będzie narodem o wielkich dążeniach i promieniowaniach artystycznych — będzie krajem człowieka i piękna — i taki jest cel i potrzeba istnienia Ludu Polskiego; zwać się będzie przyszła Polska krajem ładu, sprawiedliwości, dobra i piękna”. 23.II.1940.

Emil Zegadłowicz, pisarz-rewolucjonista, pozostawał do końca swoich dni płomiennym patriotą. Widząc i analizując błędy przeszłości, widział też wizję dnia dzisiejszego. I widział jasne drogi po jakich pójdzie Polska, której nie doczekał. Oto na koniec jego wypowiedź, świadcząca nie tylko o jego patriotyzmie, ale i o internacjonalizmie:

„W Rosji dokonał się najpotężniejszy przewrót — przebudowa człowieka... najwspanialsza szkoła wiedzy społecznej; nowy wykres współżycia człowieka z człowiekiem...”



Wpis Leona Kruczkowskiego na kartach „Księgi Gorzeńskiej”.

„W dżungli głupoty i lajdactwa, zwanej mieszczańskim społeczeństwem, trzeba mieć mocną głowę i dużo sił wewnętrznych, aby się indywidualnie nie opierać śmiertelnemu zaduchowi tego, bądź co bądź potężnego jeszcze materialnie, świata przemocy i nikczemności, parszywych kurjerków i panowania kapitału bankowego, spryciarzy produkujących „światopogląd idealistyczny” i niedołęgów umysłowych, których jedyną mądrością jest przeświadczenie o magicznych właściwościach przymiotnika „narodowy”.

Z napisanych w Gorzeniu Górnym kart nowej powieści (prawdopodobnie „Sidla”), wybrał i wpisał

Emilowi Zegadłowiczowi  
z wyrazami szczerzej przyjaźni

Leon Kruczkowski

Gorzeń Górny, 22 sierpnia 1936.



Ostatnio wiejski zespół czytelników z Rożnicy omawia wspólnie książkę Mariana Kubińskiego pt. „Tamte lata”, której akcja dzieje się właśnie w pobliskich stronach.

## —PATRZCIE

## PAWŁOWICE IDĄ...

JULIA HARTWIG

Fot.: K. JAROCHOWSKI

Pawłowski Uniwersytet Ludowy mieści się, wbrew swej nazwie, nie w Pawłowicach, ale w Rożnicy. Po prostu od roku uniwersytet zamienił swe pawłowickie pomieszczenia z rożnicką Szkołą Rolniczą; pomimo przeprowadzki dawna nazwa uniwersytetu została zachowana.

Rożnica leży w województwie kieleckim, za Jędrzejowem, kilkanaście kilometrów od szosy wiodącej na Kraków.

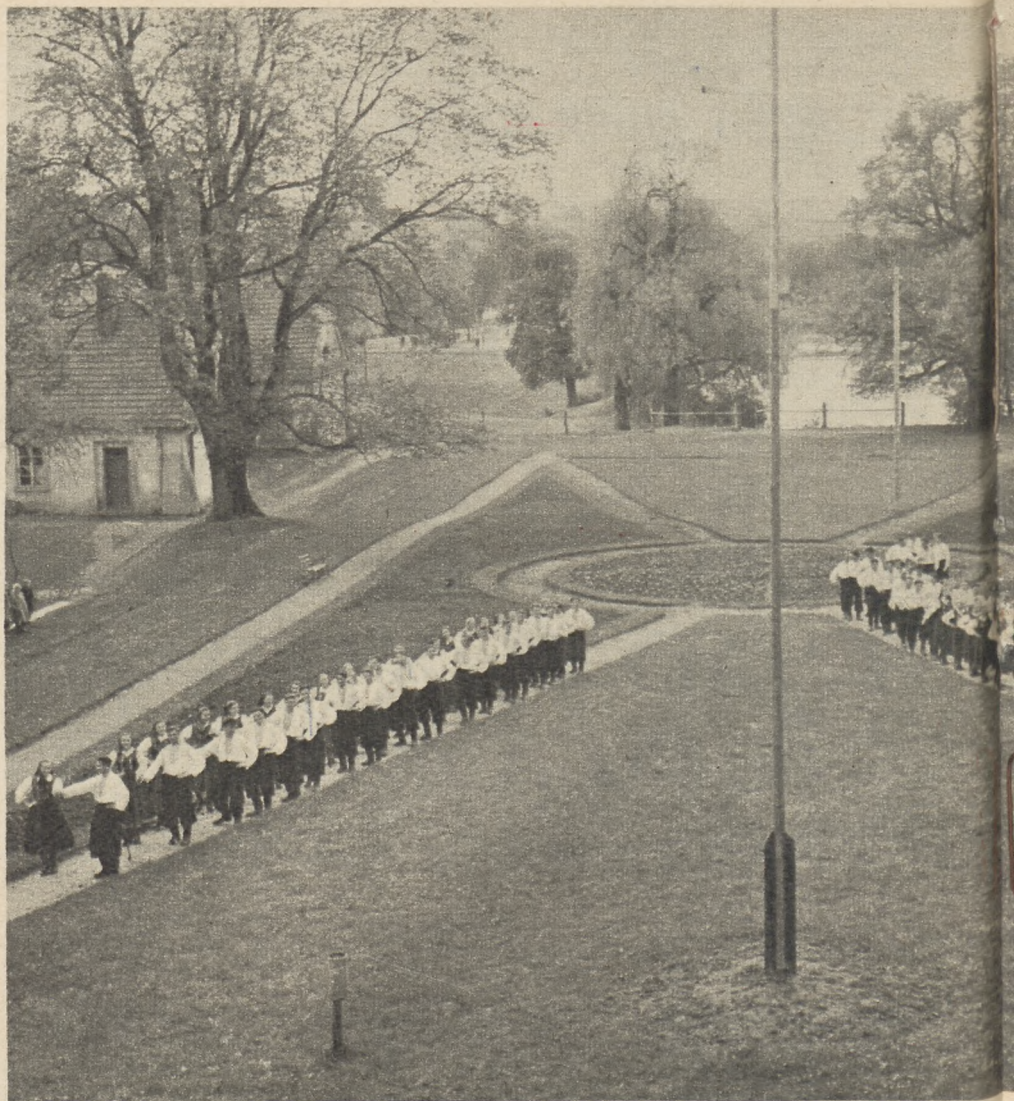
Zadaniem Uniwersytetu Ludowego w Rożnicy jest wychowywać wiejskich działaczy kulturalno - oświatowych. Po dwóch latach pobytu w szkole — uniwersytecie jest szkołą internatową — wychodzą z niej absolwenci przygotowani do kierowania świetlicami w gminach czy spółdzielniach produkcyjnych. Ten dwuroczny kurs to okres wyjątkowej pracy zarówno dla uczniów jak i nauczycieli. Uczniowie, którzy tu przychodzą, są w różnym wieku i po niejednakowym stażu życiowym oraz szkolnym — czasem po siedmiu klasach szkoły podstawowej, czasem po czterech. Ale bez względu na to, czy byli to cztery, pięć czy siedem ukończonych klas,

okres spędzony na nauce w szkole podstawowej jest dla kandydatów Uniwersytetu Ludowego odległy o kilka, nierzadko nawet o kilkanaście lat, bo młodzież ucząca się w Pawłowickim Uniwersytecie to młodzież dojrziała: od osiemnastego do trzydziestego roku życia. Niektórzy odbyli już SP, niektórzy zdążyli się pożenić, wszyscy niemal mają za sobą dłuższy lub krótszy okres pracy zarobkowej. A że uczniowie Uniwersytetu Ludowego w Rożnicy to dzieci chłopskie i najczęściej biedniackie, więc dla niejednego z nich „pracować na siebie” znaczyło tyle, co pracować na kłosa, w zamian za byle jakie wynagrodzenie lub strawę. Ze wspomnienia upokarzającego wyrobku — czy to własnego, czy matki lub ojca — rodzi się w kandydatach na uczniów uniwersytetu i przyszłych działaczy wiejskich bunt przeciw biedniackiej krzywdzie i pragnienie przebudowy wsi. Uniwersytet Ludowy ukaże temu pragnieniu drogę do realizacji: zapozna swego wychowanka z wszystkimi typami spółdzielni produkcyjnych i otworzy mu oczy na zasady i wyższość gospodarki zespolowej.

Pawłowickie dziewczęta chętnie przebierają się przed występem w kieleckie stroje.



TEN, kto rozmawiał choć raz z uczniami Pawłowickiego Uniwersytetu, wie jedno: stu dwudziestu ludzi, którzy się tu wychowują — to zespół oddany sprawie socjalizmu, zespół mocny ideologicznie i już dziś cieszący się znacznym autorytetem moralnym pośród okolicznej ludności; zespół ze wsią związany, znający stosunki wiejskie i wiejskiego człowieka poprzez doświadczenia własnego życia i własnej pracy. Dziewczęta i chłopcy z Rożnicy zachwycają przybysza swoją powagą, żarliwością i jasnym, pozbawionym jakiegokolwiek frazeologii sposobem myślenia. Młodzież ta rozpoczęła pracę od środowiska, z którym jest najbliższej związana: pomaga po sąsiedzku rożnickiej spółdzielni produkcyjnej, pracując dla niej po kilka godzin dziennie w polu, lub w ogrodzie. Nie zapomina również o środowisku rodzinnym: ojcowie i matki uczniów z pawłowickiej szkoły — to przeważnie członkowie spółdzielni produkcyjnej, lub kandydaci do spółdzielni. Łatwo dowiedzieć się od słuchaczy Uniwersytetu Ludowego, jakimi drogami doszły ich rodziny do gospodarki zespolowej. Nie tają oni, że był to częsty temat ich listów wysyłanych do rodzinnych wsi i rozmów prowadzonych z ojcem czy matką. Młodzież z Rożnicy podjęła zobowiązanie, że przekonywać będzie z całych sił swych najbliższych na wsi o wyższości gospodar-



Kiedy pogoda sprzyja, zespół taneczny Pawłowickiego Uniwersytetu Ludowego tańczy na łąkach wylądować na tle ogrodu taniec sandomierski „Wyrwany”. Lubi go też grać ko-

ki spółdzielczej nad indywidualną. Wszyscy niemal uczniowie Uniwersytetu Ludowego w Rożnicy — to członkowie ZMP; kilku-nastu z nich — to członkowie partii.

### WYMOWA LISTÓW

Dyrektor Uniwersytetu Ludowego, Waldemar Babinicz, ma całą tekę listów od swych dawnych uczniów. Absolwenci rozsypali się po kraju, poszli do pracy na wsi lub w mieście — i od czasu do czasu dają znać o swych trudnościach czy sukcesach

„Chcę Wam po krótko napisać o swym życiu — pisze jeden z nich. — Otóż, jak Wam wiadomo, jestem w oficerskiej szkole kwatermistrzostwa. Co do nauki, to idzie mi bardzo dobrze, mam dużo pochwał za dobre wyniki...

...Dzięki Waszej pracy nade mną nauczyłem się uczyć, poznałem, jak się trzeba uczyć i jakim winien być człowiek”

Inny list:

„Jestem w terenie, interesują mnie tylko spółdzielnie produkcyjne, a ponieważ jestem sam ze spółdzielni, to już mam pewne doświadczenie. Zapisalem się jeszcze do szkoły, wieczorami chodzę do szkoły, w dzień w terenie człowiek pokonuje wszelkie trudności. Kto pracuje dla społeczeństwa to pokona wszystkie trudności. Kolego Dyrektora, napiszcie mi jak tam Wam leci w Pawłowicach, czy są lepsi teraz w Pawłowicach. Wychowujcie młode kadry, które wychodzą z Pawłowic, bo odczuwa je ludność wiejska i całkiem inaczej postępują w terenie jak urzędnicy sanacyjni, którzy jeszcze tu i ówdzie siedzą i nam szkodzą i naszej robocie. Nasze kadry ich wyszukują i wysadzają na zbity łeb. Na tym kończę i pozdrawiam was wszystkich i składam dla was Ludowe Pozdrowienie — Szymon K.”

Feliks R., z gminy Rudno, pracuje w świetlicy wiejskiej:

„Przygotowuję montaż pieśni i inscenizacji i tańców ludowych. W maju pojedziemy z dziewczętami na występy. Pięta Achilleśa to jest u nas brak strojów do tańców, ale jakoś sobie poradzimy. A występy z braku sceny będziemy robili na świeżym powietrzu”.

Wszyscy korespondenci wyrażają w swych listach wdzięczność za to, czego zdawali się w Pawłowicach nauczyć. Wielu żałuje, że okres nauki na uniwersytecie nie jest dłuższy:

„Sprawdziłem sam, że faktycznie wszystkie wykłady, które zdążyłem sobie przyswoić, dzisiaj dopiero są mi wielką pomocą w codziennej mej pracy. Dzisiaj odczuwam i sam sobie się dziwię, dlaczego tak mało się wówczas uczyłem. Trudno mi jednak obecnie poza pracą uczyć się więcej, pomimo że jeszcze dzisiaj wyrzekłbym się wszystkiego, by wchłonąć w siebie tylko 10% tego, co mogłem zyskać w Pawłowicach”.

Niesposób przytoczyć wszystkie listy. Sprawy w nich są najrozmaitsze: i związane z pracą zawodową i najprywatniejsze, z prośbą o pomoc i radę w kłopotach domowych czy rodzinnych. Przeglądając te ostatnie — dyrektor odkłada je na osobny stos. Te listy są wyłączną sprawą dwu rozmawiających ze sobą w zaufaniu ludzi. Nikt więcej nie będzie ich oglądał. Ale poprzez wszystko, cokolwiek piszą do dyrektora byli wychowankowie, słychać głos

Dzieci z rożnickiego przedszkola mają wesołe czorem do rodzinnego domu, zdążą nabawić





wolnym powietrzu. Może najbardziej matkapela ciesząca się tu wielkim uznaniem.

jeden brzmiący jak ten cytat z innego listu, który można pokazać i ogłosić: „Choć odległość dzieli nas daleka, lecz myśli i cel nasz jeden: budować lepsze jutro”.

#### JAK KSIĄŻKA WĘDRUJE

Pewnej zimowej niedzieli szli drogą do wsi Jasieniec dwaj uczniowie Pałowski i Chmielnicki. Idąc zastanawiali się, jak po-

życie. Zanim matki zabiorą je przed wie-



dziela się pracą, żeby przed wieczorem zdążyć z powrotem do Rożnicy. Praca ich polegała na zorganizowaniu zespołu czytelniczego w gromadzie Jasieniec. Trzeba w tym celu najpierw porozumieć się z sołtysem. Potem poszukają tamtejszego przewodniczącego ZMP i wezwą go do pomocy. Z kolei pójdą po gospodarzach, od chałupy do chałupy, wyjaśnia po co tu przyszli i zaproszą na zebranie. Końcowy etap — zawiązanie zespołu. Uniwersytet w Rożnicy dostarczy książek, a zespół czytelniczy zbierać się będzie co niedzieli na głośne czytanie i omawianie przeczytanych książek.

Kiedy uczniowie szli tak drogą, ostrym krokiem — śpieszyli się bowiem, a przy tym ranek był mroźny — wyjechał nagle zza chałupy wóz drabiniasty, na którym siedział popędzając konia jakiś nieduży chłopaczek. Kiedy wóz zrównał się z nimi, uczniowie zauważyli, że małe w prawej ręce trzyma bat, a lewą przypiera do siedzenia sporą paczkę książek.

— Książki wieziesz? — zapytali.

— A książki — odpowiedział chłopaczek.

Tym sposobem Rejkowski i Chmielnicki trafili na ślad pięknej biblioteki Henryka Borucińskiego, chłopca na czterech hektarach, zamilowanego czytelnika książek. Księgozbiór Borucińskiego liczy około tysiąca tomów. Henryk Boruciński jest bibliotekarzem biblioteki gminnej, ale nie odmawia nikomu chętnemu i własnych książek. Dziś ma on lat około 50. Przeczytał ostatnio „Wojnę i Pokój” Tolstoja i tym, którzy z nim rozmawiali, mówił, że pragnie jednego: ażeby starczyło mu życia na przeczytanie wszystkich dzieł Tolstoja. „Życia” — to znaczy chwil wolnych od pracy w polu. Takich, które może poświęcić na lekturę bez uszczerbku dla gospodarki.

Uczniowie Pałowski Uniwersytetu założyli w tym roku czterdzieści zespołów i mają pod opieką około dwóch tysięcy czytelników. Odwiedzali swoje zespoły w mroź i deszcze, rozbiegali się we wszystkie strony niemal każdej niedzieli, kiedy nie występowali z zespołem szkolnym — idąc pieszo w „swoją teren”, odległy od szkoły często o kilkanaście kilometrów.

Oczywiście Uniwersytet Pałowski ma również własną bibliotekę. Trzy tysiące tomów. Z okazji Dni Oświaty, Książki i Prasy w świetlicy szkolnej zorganizowana została wystawa książek: polska beletrystyka, współczesna, radziecka literatura piękna, broszury polityczne, klasycy marksizmu i encyklopedie. Obok tego — wydawnictwa fachowe z dziedziny agrotechniki, agrobiologii, czy dotyczące zagadnień spółdzielczości.

Organizatorem wystawy i zarazem bibliotekarzem jest Piotr Ożarowski, który wyklada na uniwersytecie w Rożnicy historię i ekonomię. Zapytany, jak ocenia czytelnictwo wśród uczniów uniwersytetu, począł wyciągać jedna za drugą karty biblioteczne z segregatora. Bynajmniej nie po to, żeby się nimi pochwalić. Powiedział nawet, że nie jest jeszcze w pełni zadowolony z przeciętnej czytelnictwa w szkole, ale że przy ogromie codziennej pracy uczniowie nie mogą przeczytać więcej niż czytają. Nie dawał się ponieść radości z powodu gęsto zapelnionych kart bibliotecznych kilku przykładowych czytelników i nie załamywał rąk nad tymi wykazami, na których widniało zaledwie kilka skromnych pozycji. Każda z kart bibliotecznych — to był dalszy ciąg dobrze mu znanego życiorysu wychowanka.

— Temu hitlerowcy rozstrzelali ojca, matka umarła z nędzy i poniewierki. Pasał głęsi u obcych i z biedą skończył cztery klasy szkoły podstawowej. Pracował gdzie popadło, wreszcie trafił do nas. Uczy się pilnie, ale z trudem, nie starcza mu czasu na czytanie książek. Na razie dobre i to, co przeczytał.

— Ten zebrał dużo pozycji, a to z prostej przyczyny: nie ma słuchu, więc nie śpiewa w chórze i nie tańczy w zespole świetlicowym. Oba te zajęcia pochłaniają innym wiele czasu, który on poświęcić może na lekturę.

— Ten czyta sporo, ale proszę spojrzeć: przeważają pozycje o tematyce lotniczej. Może to chwilowe, na pół dziecinne jeszcze poszukiwanie silnych wrażeń, może zaczątek jakiegś dużej pasji życiowej.

Prowadzenie biblioteki w takiej szkole jak pałowska, to trud wymagający znajomości nie tylko książek, ale także — i przede wszystkim — ludzi. Jeśli książka pomaga żyć, to bibliotekarz wskazuje nie raz do tego życia drogę. Dobrze więc, jeśli na takim ważnym miejscu znajdzie się ktoś,

Dołączono na str. 17



Chłopi ze spółdzielni produkcyjnej Rożnica wyruszają do pracy w polu. Po południu, kiedy skończą się wykłady, uczniowie z Uniwersytetu Pałowskiego pomogą sąsiadom.

Obrazek z pracowitego dnia uczniów Uniwersytetu Ludowego. Po codziennych zajęciach taniec, który, jak zwykle, jest specjalnie atrakcyjny dla naszego fotografa.



# GORĄCA WIEŚ

## AMBINANITELO



...starzec patrzy na mnie zakłopotany.

**R**AMASO ma około trzydziestu lat; jest starannie ubrany, niż zazwyczaj jego rodacy. Posiada wyjątkowo ciemną, brunatną skórę i uderzający wyraz oczu. Są to oczy czarne, jak u wszystkich Malgaszów, lecz spokojne i inteligentne, budzące z miejsca zaufanie. Ramaso jest niezwykle uprzejmy, chociaż bez odcienia służalczości, tak często rażącej u tubylców.

— Nie zajmę wiele miejsca — mówi z uśmiechem, wskazując na swą drobną postać — jestem lekki.

Ramaso jest niepokątny i szczupły, widać, że w jego rodzinie nie przelewało się od zbytków. Jest jednak poważny, bo odprowadza go do ciężarówki trzech uroczystych Malgaszów i żegna go z oznakami czci.

— To z pewnością krewni — odzywam się, gdy ruszamy.

— Nie, nie krewni.

I zaraz, nie chcąc uchodzić za niegrzeczności, wyjaśniam:

— To towarzysze.

Niezwykle w ustach Malgasza słowo wywołuje moje zaciekawienie

— Jacy towarzysze?

— Towarzysze... wspólnych przekonań.

Staram się przeniknąć wyraz jego twarzy, lecz on utkwił nieruchomy wzrok w dal, na drogę przed nami.

— Vazaha jest przyrodnikiem? — zagaduje mnie po chwili, chcąc skierować rozmowę na inny tor.

Suniemy przez rozległą dolinę, gorącą i zroszoną częstymi deszczami. Przyroda tonie w rajskim przepychu. Wśród zieleni drzew pomarańczowych, papai, chlebowców — migają trzcinowe chaty na palach. W porannym powietrzu pełno śpiewu i wrzasku ptasiego.

W tej części doliny, którą mijamy mniej więcej w godzinę po opuszczeniu Maroantsetry, Beniowski stoczył swą pierwszą, rozstrzygającą walkę o panowanie. Sapirobaowie, zamieszkujący wówczas liczny szczyt ten strony, odrzucając wszelkie jego warunki korzystnego sojuszu, wydali mu wojnę na śmierć i życie. W połowie drogi do Ambinanitelo leży dziś wioska Manjina. Tu zapewne, w jej pobliżu, Beniowski przerzucił swe oddziały przez rzekę i uderzając z trzech stron na warowny obóz wodza Mahertompa, zadał mu poważną klęskę.

Po dalszych walkach nad górnym biegiem rzeki Antanambalana wróg uciekł na północ wyspy, a ryżowiska jego w pobliżu Louisbourgu dostały się Sambarywom, wiernym sprzymierzeńcom białych. Gdy później skruszeni Sapirobaowie wrócili prosząc o pokój, Beniowski, wierny swej polityce przyjaźni z Malgaszami, podał im rękę, a ryżowiska na prawej stronie rzeki zwrócił dawnym właścicielom.

— Zbliżamy się! — wyrywa mnie z zadumy Ramaso.

Przebyliśmy większą część doliny przymorskiej, góry na widnokręgu podeszły bliżej. Przed nami wyrasta okazałe, strome wzgórze, bocznym łańcuchem szczytów połączone z wysokimi górami w oddali. Droga przeciska się u stóp wzgórza, między nim a rzeką. Za następnym skrajem otwiera się przed nami wspaniały widok na nową, urodzajną dolinę, otoczoną zewsząd górami, z ludną wsią w środku pól ryżowych.

— Ambinanitelo — Ramaso wskazuje na wieś.

— „Dolina Zdrowia“ Beniowskiego — mówię i nie chcę się przyznać, że wzbiera we mnie wzruszenie.

### 2.

#### STARY DZINARIVELO

**S**Ą USTRONIA w gorącym pasie tej ziemi, gdzie kwitnie, zda się, wieczna, namietna wiosna i gdzie wieczny, młody uśmiech nie schodzi z roślin i z ludzi. Piękno tych szczęśliwych zakątków jest nieznisz-

czalne, nieprzemijające, a zachwyt, jaki wywołują, nie słabnie poprzez długie wieki, wciąż od nowa się odra-  
dza, trwa i działa.

Kiedyś Beniowski odkrył Dolinę Zdrowia nad rzeką Antanambalana. Zachwycił się jej niezwykłym urokiem i przez pewien czas w niej zamieszkał. Odtąd zachwyt jego przylgął do tej doliny niby urzeczenie i jak gdyby raz na zawsze: bo i dzisiaj ta sama dolina Ambinanitelo pozostała jednym z najpiękniejszych zakątków świata i dziś tak samo jak ongiś czaruje.

Wielkie, modre motyle suną tu w powietrzu w dumnym locie, na lśniących skrzydłach odbijając blaski nieba. Gdzie indziej ludzie nauki nazwali je orizabus, lecz tutaj błyszczący żeglarze nie mają żadnej naukowej nazwy. Dla tubylców są to ważne, przychylne duchy-lolo, strzegące ładu i szczęścia doliny i pijące soki z dojrzałych bananów.

Dwie inne potęgi, niezwalczone i boskie, trzymają w okowach uroczą dolinę i dzierżą jej losy życia, raz darząc błogosławieństwem, raz szerząc klęski: to ogromna, kapryśna rzeka Antanambalana, płynąca przez dolinę, rzeka o sławnej legendzie i malowniczych brzegach; druga potęga to dzikie góry, opasujące zewsząd dolinę, pokryte tropikalną puszcza, góry zuchwałe, wspaniałe, bliskie, nieprzebyte, bezludne, a zaludnione dziwami. Jak drapieżne widma czuwają dokoła i zadróźnie zamykają dolinę przed światem.

W tej dolinie śni swe ryżowe życie około tysiąca Malgaszów ze szczepu Betsimisarak. Posiadają niewielkie pola ryżowe dokoła wsi, i wielu przodków, których duchom oddają głęboką cześć. Ludzie to skromni i łagodni, rzadko kiedy wychodzą nad brzeg morza, do Maroantsetry. Istnienie swe w dolinie przypuszczalnie zawdzięczają samemu Beniowskiemu, który przodków ich, a swych sojuszników, Sambarywów, zrzuceniem wojny dotąd sprowadził i tu na stałe osiedlił.

Dolina Ambinanitelo, jakkolwiek stanowi przeszło tysiąc hektarów najżyźniejszej ziemi, Europejczyków wcale nie wabi. Leży zbyt daleko od wielkich gościńców świata. Wiadomo z historii, że raz tylko gościła liczniejszą ich gromadę i to tylko na krótko: wtedy, gdy Beniowski założył tu swą redutę Augusta i stację wypoczynkową.

Dzisiejsi mieszkańcy doliny, nie przywykli do białych ludzi, stronią od nich. Tańczą do księżyca, czczą swych przodków, wierzą w złe duchy, Francuzom regularnie płać podatki. Gdy biały człowiek zjawi się w ich wsi, budzi gwarne podniecenie wśród młodzieży, a cichy niepokój wśród starych. Psy skomlą żałośnie.

— Przywieźliście ze sobą sporo bagażu! — mówi do mnie ze smutną zadumą Dżinarivelo, brązowy starzec o fraszliwych oczach i ujmującej twarzy.

— Tak! — odpowiadam z najmiłszym uśmiechem. — Pozostanę u was długo, bo musicie opowiedzieć mi wszystko, co pamiętacie o Beniowskim.

Lecz starzec patrzy na mnie zakłopotany: nie rozumie, czego chcę; nie pamięta nic o Beniowskim, nie zna takiego vazahy.

— Jak to, nie znasz? Za czasów dziadka twego dziadka przybył tu do was, został zwycięskim wodzem, obrał się go swym ampansakabe, wielkim królem. W Maroantsetra miał swój główny obóz, lecz także przebywał tu, w dolinie Ambinanitelo...

Nie, stary Dżinarivelo nie o tym człowieku nie wie, i nikt inny w dolinie również nie wie. Dżinarivelo chciałby się wycofać z niemiłej rozmowy. Patrzy ukradkiem w dal, na szeroką rzekę, jakby wyczekując od niej odsieczy.

— Rzeka!... — nie popuszczam śmiejąc się. — Zanim zaprzyjaźniliście się z Beniowskim, chcieliście go podstępnie zniszczyć. Zatruliście tę rzekę, wrzucając do niej całe drzewa tanguinu...

Nie, Dżinarivelo nie zna tej historii. I widać po nim, że mówi prawdę: nie zna dziejów Beniowskiego. Zresztą znudziła go do cna rozmowa ze mną. Puszcza mimo uszu moje gorące zapewnienie, że przybywałam tu jako szczerzy przyjaciel i chcę się zaprzyjaźnić ze wszystkimi mieszkańcami doliny. Dżinarivelo nie chce mej przyjaźni, chce tylko spokoju, chciałby już odpocząć w swej chacie. Uśmiecha się do mnie bezradnie i z pogardliwą wyższością.

Kroczyliśmy powoli nad samym brzegiem rzeki, na dziwnej łące. Gęstym kobiercem porasta ją, zamiast trawy, niski gatunek mimosy, niezmiernie czulej. Za najlżejszym dotknięciem nogi pierzaste listki gwałtownie się zwierają, gałązki nagle się kręcą i kurczą, nawet całe łodygi, dotknięte wstrząsem, przypadają jak ścię-

W samej wsi rosną palmy kokosowe, pełno tam palm, wszędzie są palmy.





Wśród ludzi tańczących przed nami otwiera się niewielkie koło.

te do ziemi. Za nami pozostaje szeroka bródza zdrewniałych, przycupniętych mimoz: żywiołowe zamknięcie się roślin przed czymś obcym i wrogim.

Naraz Dżinarivelo skupia na mimozach całą swą wytężoną uwagę. Ich obrona przed stopą człowieka podsuwa mu upragnione skojarzenie. Oto Dżinarivelo upodobnia się do przycajonych mimoz, chce ukryć się w ich duszy, czuje się rośliną. Świadomość znalezionego pokrewieństwa dodaje mu nowych sił, potęguje jego upór. Przeciw obcemu intruzowi rodzi się magiczny sojusz tuziemca ze swojską rośliną. Dżinarivelo podnosi głowę i hardziej.

Energicznym szarpnięciem wyrwyłam kilkanaście pędów mimozy i zanoszę je do chaty przeznaczonej na moją kwatery. Wkładam je do szklanki z wodą, szklankę stawiam na stole.

Po chwili woda wnika w tkanki roślin i przewycięża ich opór. Łodygi nabierają znowu życia, prężnieją, podnoszą się: liście rozkręcają się szeroko i przyjaźnie.

Dżinarivelo widzi poddanie się roślin i nie odrywa oczu od zjawiska. Bc rzeczywiste jest to dziwne: mimozy wyglądają teraz jak oswojone, roślinne zwierzęta, posłuszne i gotowe jeść z ręki białego człowieka w jego własnej chacie. A przedtem były takie zamknięte i odpychające.

Dżinarivelo mięknie. Stracił roślinnego sojusznika i po raz pierwszy spogląda na mnie przyjaźniej.

Rozmowa ze starym Dżinarivelo utwierdza mnie w przekonaniu, że w Ambinanitelo skończyła się przewaga — kolonialna przewaga — białego człowieka. Istnieje ta przewaga w Tananarywie, stolicy kolonii; istnieje w Tamatawie, istnieje do pewnego stopnia w pobliżu Maroantsetra, gdzie rządzi francuski szef dystryktu ze swą policją — lecz w tej dolinie jak gdyby tej przewagi nie było. Wylania się nowy, niespodziany stosunek człowieka do człowieka: zależność białego człowieka od woli i, niestety, kaprysów mieszkańców doliny.

### 3.

#### ZATRUWAJĄ KOGUTA

**W**IEŚ Ambinanitelo jest rozległa, bogata, czysta, na białym, zdrowym piasku zbudowana. Leży w posrodku doliny, otoczona palmami kokosowymi, pełno tam palm, wszędzie są palmy. Cała wieś to właściwie jedno zielone uroczysko, rozległy gaj tych czarownych drzew, przyjaciół człowieka, łączących w sobie wdzięk ujmujący i użyteczność niepowседневną: gorącego słońca nie zatrzymują palmy całkowicie, lecz przepuszczają na dół właśnie tyle promieni, ile ludziom potrzeba do zdrowia i szczęścia. Z ich wysokich liści padają przez cały dzień na ziemię tajemnicze zygzaki z nieba: to jakby linie życiowe ludzi, przebiegających pod opieką palm, linie zawsze jasne i pod dobrą wróżbą.

Malgasze mieszkają tu w przewiewnych chatkach zbudowanych z bambusów, trzciny i palm, i wzniesionych na palach, w powietrzu. W Ambinanitelo nie ma domu murowanego, mur jest tu zbędny. Chaty stoją w pewnej odległości od siebie, wedle odwiecznej mądrości malgaskiego zwyczaju: sąsiad sąsiadowi nie może zaglądać do wnętrza, może natomiast porozumiewać się z nim na głos i z daleka życzyć mu dobrego dnia.

W takiej odległości porozumienia bywają zawsze szczerze, a dobre życzenia zawsze skuteczne.

Lecz dzisiaj od chaty do chaty krążą złe przecucia. Padają trwożne słowa. Obcy biały człowiek przyjechał i chce żyć blisko, we wsi. Czym to grozi? Obcy vazaha zapewnia o swej przyjaźni, lecz czy ufać mu? A jeżeli ufać, to czy pomimo to obecność cudzoziemców nie rozdrażni duchów i nie spowoduje klęsk na dolinę? W takich wyjątkowych wypadkach tylko ukryte siły mogą same dać wyjątkową odpowiedź.

Więc wkrótce po naszym przybyciu do Ambinanitelo schodzi się przed kwatery cała wieś. Kobiety klaszczą rytmicznie w dłonie i coś wyśpiewują, a jakiś starszy jegomość wygłasza uroczyste przemówienie, często przetykane słowami: vazaha. Z początku myślimy, że to przyjazne powitanie nas, gości, tym bardziej, że nastrój zbiegłowski wydaje się nam pogodny: dzieci się cieszą i dokazują, a ta i owa z młodszych śpiewaczek wybucha pustym śmiechem.

Wszystko to dzieje się tuż pod naszym bokiem, na dziedzińcu między wyznaczoną nam chatą a domem wójty, szefa kantonu. Niestety, wójta samego nie ma, jest na objeździe swego obwodu. Stojąc na werandzie otaczającej ze wszystkich stron naszą chatę, przyglądamy się widowisku z niemałym zaciekawieniem. Dopiero po chwili spostrzegamy, że to wcale nie jest przyjazne powitanie.

— Ej, co to? — szepce Kreczmer, trącąc mnie w bok. — Patrzcie, jak ich miny naraz poważnieją.

— Co za szkoda, że nie rozumiemy ich słów — ubolewam.

— Może zawołać kucharza Marovo, on nam wytłumaczy.

— Gdzie on jest?

Jest w pobliżu, w kuchence, zbudowanej z trzciny tuż za naszą chatą. Marovo, przyprowadzony przez Bogdana, staje obok nas, patrzy, słucha.

— Co oni śpiewają? Powiedz!

Marovo przybiera tępa twarz, jak gdyby nie umiał zliczyć do trzech.

— Nie wiem, nie rozumiem — mruczy, i chociaż nie-  
źle umie po francusku, teraz język mu się zacina. — Nie wchodzi mi do głowy. Nie pojmuję.

— Czy oni nie śpiewają w języku Betsimisaraka?

— Nie wiem... Złe słyszę... Zdaje się, że śpiewają.

— Więc co śpiewają?

— Czy ja wiem?

— Czemu kłamiesz, Marovo?! Co ukrywasz?

Nic z kucharza nie wydobyjemy. Szczelnie zamyka się przed nami w bezmyślnym uśmiechu.

— Nowa odmiana mimozy — stwierdzam cierpko do Bogdana.

— Uwaga! — szepce towarzyszy. — Scena na dziedzińcu zmienia się!

Wśród ludzi, powoli tańczących przed nami, otwiera się niewielkie koło. Wpuszczają do środka koguta. Przerażone gwarem płaszysko chce uciekać. Lecz gdziekolwiek pędzi, ściana ludzka zagradza mu odwrót. Gdy kogut lotem zamierza przefrunąć ponad ciżbą, łapią go w powietrzu i ściągają do koła. Nie ma dla niego ucieczki.

— Coś tam przeczuwam niedobrego! — mówię do Kreczmera. — Heca zaczyna mi się nie podobać. Kogut pachnie mi jakimś symbolem.

— Mianowicie?

— Jeśli się nie mylę, to gotują coś w rodzaju sądu nad nami.

— Sądu?

— Tak. Sądu bożego.

— A w istocie byłaby heca! — raduje się Kreczmer.

— Nie podzielałam waszego dobrego humoru, Bogdanie! Przecież chcemy żyć z nimi w zupełnej zgodzie. Takie sądy boże nie przyczyniają się do serdecznego nastroju.

— To przejściowe kaprysy!

— Oczywiście, przejściowe... Ciekaw jestem, gdzie podział się nauczyciel Ramaso. Jak pożegnał się przy wjeździe do wsi, tak od tego czasu znikł jak kamfora. Przydałby się teraz!... Co stanie się, jeśli sąd boży wyrokuję przeciwko nam? A to niemal pewne!

— Głowy nam nie urwą!

— Nie. Mają lepsze środki, by nas się pozbyć. W tym kraju tysiąca trujących roślin łatwo coś wsypać do ryżu. Ot, kilka włosków z bambusa birmańskiego...

Jest to na Madagaskarze okrutny i najpodstępniejszy sposób zadawania śmierci niewygodnym ludziom. Mało widoczne włoski pospolitego bambusa, zjedzone z pokarmem, nie podlegają trawieniu, lecz wbijają się w ścianki żołądka i z biegiem czasu wytwarzają tam ropięce rany, na które nieszczęsny umiera po kilku miesiącach dotkliwych boleści. Rzecz prosta, że po tak długim czasie nigdy nie wychodzi na jaw, kto był zabójcą.

— Przypuszczam — niedowierzająco uśmiecha się Bogdan — że dawno już minęły czasy starej hetery, królowej Ranavalony I, która podobno kazała zażywać truciznę tanguinu mieszkańcom całych okolic.

— Owszem, tysiące ich wtedy posyłała na łono Abrahama.

— Ale od blisko wieku chyba nie było tu sądów bożych na ludziach.

— Nie było — oficjalnie. Natomiast nieoficjalnie i w zmienionej, złagodzonej formie przetrwały do dnia dzisiejszego... Nie myliłem się! Patrzcie, co ten stary robi!

Poprzedni mówca zabiera znów głos i urabia w dłoni kluskę z gotowanego ryżu, mieszając do środka jakiś szary proszek. Teraz już wiem. Chce otruć koguta tanguinem i z jego zachowania się wyczytać o naszych zamiarach. Do głowy strzela mi kilka zawiadłych pomysłów, jakby pokrzyżować ich zabiegi, lecz żadna myśl nie wydaje mi się dość skuteczna.

Kogut jest głodny. Rzuci się na ryż jak głupi i dziobie z apetytem, na własny i nasz pohybel. Naraz ustaje i zamiera w ruchu, jak gdyby w głębokim zamyśleniu. Potem zrywa się, biegnie kilka szybkich kroków, bije rozpaczliwie skrzydłami, dobywa z gardzieli chrapliwych głosów, w końcu pada jak pijany. Trzepoce się coraz słabiej, drętwieje. Zdechł: piorunująco podzieliła trucizna. Tajemne siły przemówiły na naszą niekorzyść.

Starzec trąca ptaka kijem i stwierdza z grobową miną:

— Młoty — nie żyje!

Staram się obrócić zająście w żart i wołam z udanym oburzeniem do tego, który przygotował ryż:

— Kujonie! Oszukałeś nas wszystkich! Dałeś porcję trucizny dobrą dla wołu!

**Dalszy ciąg nastąpi**

Jak malgaski artysta widzi białego kolonizatora, noszonego na noszach — filinżanie i zaczytanie. Rzeźba z drzewa, znaleziona na grobie w krainie szczepu Antandroyów na południu wyspy.



# FOTO

## KORRESPONDENCI DONOSZA

### MŁODA SPÓŁDZIELNIA



Władysław Kościuk, matorolny, podpisuje deklarację do spółdzielni

Spółdzielnię produkcyjną w Styrzysku (gmina Sitnik, powiat Biała Podlaska) zorganizowano kilka miesięcy temu. Początkowo liczyła ona tylko 14 członków; byli to mało i średniorolni chłopcy, którzy ziemię otrzymali z nadziału, a przed wojną pracowali jako robotnicy folwarczni. Młoda spółdzielnia przy doskonałej organizacji pracy szybko jednak zjednała sobie nowych członków i już wkrótce dalszych ośmiu chłopów przystąpiło do Rolniczego Zespołu Spółdzielczego w Styrzysku.

Spółdzielnia posiada 110 ha ziemi ornej, 22 ha łąk i 4 ha pastwisk. Stwarza to możliwości hodowlane. Na razie inwentarz żywy składa się z 7 koni, ale już w tym miesiącu za kredyty państwowe zostaną zakupione rasowe krowy w liczbie 10 i owce kara-

kułowe w liczbie 20. Pod koniec lata przybędzie 30 hodowli 20 warchlaków i 5 macior zarodowych.

Dla uczczenia Święta Pracy spółdzielcy ze Styrzyska współzawodniczyli ze spółdzielnią produkcyjną w Burwinie (z sąsiedniej gminy Dubów) kończąc swe siewy wiosenne na trzy dni przed terminem, to znaczy 17 kwietnia.

Na kilka dni przed Świętem Pracy młoda spółdzielnia otrzymała nazwę „Pierwszy Maja”. Nazwa ta zawsze będzie spółdzielcom przypominać sojuszy ich z całą klasą robotniczą.

Liczba sympatyków nowej spółdzielni wzrasta z każdym tygodniem, należy więc spodziewać się, że na jesieni znów powiększy się liczba jej członków.

F. Praszczak, Biała Podlaska



Spółdzielcy otrzymali z POM-u nowy sprzęt rolniczy

### NAGRODZONA ODWAGA

Dnia 30 kwietnia bieżącego roku zdarzył się w Przemyślu następujący wypadek. Do sklepu Nr 20 „Spółnoty Pracy” wtargnęło dwóch uzbrojonych bandytów celem zrabowania gotówki znajdującej się w kasie.

Obecne w sklepie trzy pracownicy nie pozwoliły się jednak straszyć i nie tylko obroniły kasę, ale spowodowały aresztowanie obu bandytów.

Obywatelki: Władysława

Piechocka, Stanisława Kauczyńska i Maria Faryniak otrzymały nagrodę za swoją odwagę i przytomność umysłu. Dnia 30 kwietnia podczas uroczystości akademii 1-Majowej wiceminister Przemysłu Drobego i Rzemiosła — ob. Olszewski, udekorował Piechocką, Kauczyńską Krzyżem Zasługi, Kauczyńską Brązowym i Faryniak również Srebrnym Krzyżem Zasługi. „Spółnota Pracy”, W-wa

Zdjęcie: J. Woydyło



### ŻOŁNIERSKIE SŁOWO, TANIEC I PIEŚŃ...



W ogólnowojskowym przeglądzie amatorskiej twórczości artystycznej pierwsze miejsce i nagrodę Marszałka Polski Konstantego Rokossowskiego zdobył Zespół Pieśni i Tańca Krakowskiego Okręgu Wojskowego.

Powstał on na początku roku 1950, a zorganizował go oficer Leopold Kozłowski, werbując zainteresowanych sztuką żołnierzy i pracowników cywilnych, zatrudnionych w instytucjach wojskowych. Już pierwszy występ w dniu 1 Maja tegoż roku przyniósł Zespołowi uznanie publiczności. Była to w dużej mierze zasługa profesora Żuławy, który systematycznie ćwiczył młody Zespół, — i Leopolda Kozłowskiego, który przełamował wszelkie trudności organizacyjne.

Pod troskliwą opieką generała dywizji, Bolesława Kieniewicz, Zespół wzrastał z każdym miesiącem i z czasem wybił się na pierwsze miejsce. Do współpracy wciągnął kompozytorów (Kłucznika, Dobrzańskiego i Gerta) oraz poetów i pisarzy (Zechentera i Otwinowskiego). Stworzono nowe kompozycje chóralne: „Marynę mi swatają”, „Dywidzja Kościuszkowska” i inne.

W nowym programie Zespołu widzimy przede wszystkim „Pieśń o Stalinie” w wykonaniu chóru i orkiestry, pieśni o przyjaźni polsko-radzieckiej, frontową piosenkę „Zaszło słońce za górami”, pieśń azerbejdżańską „O nafi”, pieśń o Marszałku Rokossowskim oraz wianek melodii radzieckich, wyko-

nywanych przez orkiestrę, chór i solistów: Helenę Taborską (sopran), Stanisława Broła (tenor) i Tadeusza Podsiadło (bas).

Balet pod kierownictwem Jerzego Kaplińskiego opracował w nowym ujęciu tańce ludowe i wzorując się na baletach radzieckim stworzył polskie tańce żołnierskie: „Na przepustce” i „Mazur podchorążych”. W balecie prądują Maria Gidlewska, Teresa Cipra, Edmund Margos, Zbigniew Juchnowski i inni.

Zespół Pieśni i Tańca Krakowskiego Okręgu Wojsko-

wego występował w Nowej Hucie, Toruniu, Zakopanem, Przemyślu, Stalinogrodzie, w Cieszyńcu i na wsiach wobec członków spółdzielni produkcyjnej. W Cieszyńcu, oczekując na pocąg, dał koncert na dworcu kolejowym występując przed podróżnymi, głównie robotnikami, udającymi się do pracy.

W swej trzydziestoletniej działalności Zespół Pieśni i Tańca Krakowskiego Okręgu Wojskowego dał ogółem ponad 300 koncertów dla miliona prawie ludzi.

Zygmunt Konopski, Kraków

### MIGAWKA FOTOREPORTERA



Obywatelu redaktorze, w dniu 1 Maja idąc w pochodzie ul. Marszałkowską, na rogu Al. Jerozolimskich widzieliśmy taki obrazek: ponad chodnikiem, szczerze wypełnionym ludźmi, górowała uwieszona na słupie megafonowym (!) staruszka (lat chyba ponad 60). Pełna prawdziwej radości pozdrawiała przechodzących w pochodzie ludzi.

Chciałbym, aby chociaż na zdjęciu mogli ją zobaczyć wszyscy Czytelnicy „Świata”.

Jan Płoński, Warszawa

### ZWALCZAMY SŁODYSZKA!



Groźnym szkodnikiem niszczącym pola rzepaku jest słodyszek — rzepakowiec. I w tym roku pojawił się on na naszych polach: gdybyśmy nie przystąpili do natychmiastowej z nim walki — zbiorów cennej dla naszej gospodarki uprawy byłoby poważnie zagrożone.

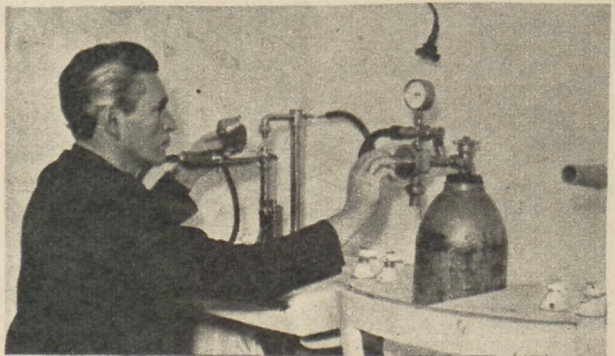
Walka ze słodyskiem nie jest łatwa — najlepiej przeprowadzić ją jeszcze przed kwitnieniem rzepaku. Państwowe Gospodarstwo Rolne otrzymały specjalne opylacze.

Na naszym zdjęciu widzimy traktorzystę Czesława Świę-

drowskiego z pomocnikiem Janem Łąkowskiem przy opylaniu rzepaku na polach PGR Górecki (Zespół Łąglewniki, pow. Krotoszyń, woj. poznańskie). Zmechanizowana walka ze słodyskiem pozwala na ogromną oszczędność robocizny: dwuosobowa brygada może opylć GESAROL-em (przy pomocy maszyny) 25 ha rzepaku dziennie, podczas gdy przy stosowaniu ręcznych opylaczy — 2 ludzi zużyłoby na tę pracę przynajmniej 8 dni!

Maria Masłowska, Poznań  
Fot.: Kazimierz Przychodźki

### DWUTLENK WĘGLA NIE ZAWSZE TRUJE



Doktor Dylewski z Lublina przeglądając stare książki medyczne natrafił na wzmiankę o leczeniu astmy dwutlenkiem węgla. Metodę tę, podobno z powodzeniem, stosowali lekarze maurycyjscy w XVI wieku. Doktor Dylewski postanowił wypróbować ją powtórnie, pojechał więc do Szczawnicy Zdroju, gdzie razem ze znanym racjonalizatorem, Wiktoorem Klają — kierownikiem Zakładu Przyrodoleczniczego, rozpoczął budowę aparatu do inhalacji dwutlenkiem węgla.

Po dłuższych pracach próbnych aparat taki zbudowano i obecnie w Szczawnicy Zdroju leczenie astmy dwutlenkiem węgla stosuje się w szerokim zakresie. Rezultaty tego leczenia są doskonałe, ale nie wolno go w żadnym wy-

padku stosować bez osobistego nadzoru lekarza.

To, że doktor Dylewski zwrócił się o współpracę przy budowie inhalatora do Wiktor Klaj, nie było przypadkowe. Wiktor Klaja jest bowiem znanym racjonalizatorem i posiada na swoim „koncie racjonalizatorskim” sześć poważnych usprawnień. Z kilku korzystają już wszystkie uzdrowiska w Polsce.

Najnowszym pomysłem, nad którym obecnie ob. Klaja pracuje, jest aparat odpylający drogi oddechowe górnych. Gdyby pomysł ten udało się zrealizować i aparat taki byłby odpowiednio łatwy do obsługi, przyniosłoby on ludziom zatrudnionym w górnictwie naprawdę ogromne korzyści.

Z. Fin, Szczawno-Zdrój

## FOTOGRAFIA NA CODZIEN

### ŁADOWANIE KASETEK

Nawijanie do kasetek taśmy 35 mm nie wymaga specjalnych umiejętności ani urządzeń. Po zakupieniu pudełka taśmy o wartości 17 m lub też pojedynczych ładunków produkcji „Filmu Polskiego” — przygotowujemy kilka kasetek bakelitowych „Agfy” czy „Kodaka”. Kasetek tych jest pod dostatkiem, dostaniemy je zarówno od znajomego fotoamatora, jak i w punkcie usługowym. Musimy jednak sprawdzić, czy nie są uszkodzone, czy plusz dokładnie kryje szczeliny, czy przykrywka nie odpada. Każdą kasetkę należy poza tym starannie odkurzyć, a z cewki, na którą nawijamy film, usunąć resztki poprzedniej taśmy.

Do naszych czynności nie potrzebujemy specjalnej ciemni. Wystarczy każde niewielkie pomieszczenie, w którym kocem zasłaniami okna, jednak dla pewności, że filmu nie prześwietlimy, lepiej zacząć z nawijaniem do wieczora.

Do tej naszej prowizorycznej ciemni zabieramy ze sobą film, kasetki i nożyczki. Jeżeli ładunki mamy ciąć z pełnego krążka (ostatnio ukazały się w sprzedaży pudełka z zawartością 17 m taśmy, pociętej już na 10 równych odcinków), na brzegu stołu czy na framudze drzwi oznaczamy (np. przez wbicie dwóch gwoździków) odległość 1,60 m. Możemy też łądować krótsze odcinki, np. 80 cm, dające nam 16—17 zdjęć. Nawijanie natomiast do kasetek zbyt długich odcinków, powyżej 1,70 m, nie jest wskazane, gdyż film wówczas ciężko przesuwają się w aparacie i może ulec porysowaniu.

Odmierzony odcinek filmu z jednej strony przycinamy odpowiednio w kształcie litery V. Cewkę nawojową, wystającą galką w dół, trzymamy w lewej ręce. Koniec filmu wsuwamy w szczelinę rdzenia, od strony prawej ku lewej. Filmy nawijamy emulsją do wewnątrz (ob. rys.). (Film zarówno w wielometrowych krążkach, jak i w krótkich odcinkach nawinięty jest zawsze emulsją do wewnątrz). Emulsji nigdy nie należy dotykać palcami, bowiem mimo najostrożniejszego umycia pozostawić mogą nieusuwalne ślady. Najlepiej taśmę chwycić tylko przy brzegach z perforacją. Należy też starannie chronić ją przed porysowaniem.

Dla nabrania wprawy zakładanie taśmy do kasetek najlepiej wypraktykować przy świetle dziennym kawałkiem niepotrzebnej, zużytej już taśmy.

Wszystkie te czynności są znacznie prostsze niż ich opisy. Przy łądowaniu taśmy wymagana jest tylko jak najdalej posunięta dokładność i czystość.

### ODPOWIEDZI REDAKCJI

„Stały czytelnik” — Cieplice. W sklepach społecznych znajdują się obecnie w sprzedaży aparaty skrzynkowe „Al-tissa”, wyposażone w obiektyw (peryoskopy) o sile światła 1:8. Innego typu aparaty skrzynkowe różnych rodzajów można nabyć tylko okazjnie w sklepach komisowych. Przy kupnie tych aparatów radzimy korzystać z pomocy fachowca. Zbudowanie samemu aparatu skrzynkowego jest dość trudne i nieoptyczne.

Henryk Wiatrak, Kielce — Jerzy Sowa, Bytom — Stanisław Soborski, Poznań — odpowiadamy listem.

### SPROSTOWANIE

W Nr 19 (94) naszego tygodnika z dn. 10.V.1953, w dziale „Fotografia na codzień” został wskutek omyłki drukarskiej zniekształcony tekst, który brzmi następująco:

„Według danych laboratorium znanej wytwórni „Agfa”, z negatywów jej produkcji można uzyskać bezzirnistnie powiększenia w następującej skali:

Isopan FF (13/10 st. DIN) — 1:40  
Isopan F (17/10 st. DIN) — 1:20  
Isopan ISS (21/10 st. DIN) — 1:10

kto zaznał sam, jak trudna jest czasem droga od robotniczego trudu do książki, która nie jest luksusem, ale codzienną potrzebą. A tak właśnie zdarzyło się w Pawłowickim Uniwersytecie Ludowym.

### „ZORANY UGÓR”

W Rożnicy trzymają się silnie za ręce trzy instytucje: uniwersytet, spółdzielnia produkcyjna i szkoła podstawowa. Jeśli ktoś sobie myśli, że to rzecz naturalna — ma oczywiście rację. Ale nie ma racji, jeśli sądzi, że taka owocna współpraca jak w Rożnicy przychodzi sama z siebie. Zanim, tak jak dziś, spółdzielnia, szkoła i uniwersytet poczęły zbierać się na wspólne narady, informując się wzajem o swych zamierzeniach — minąć musiał okres pierwszych nieporozumień i niechęci.

Ten, kto był w Rożnicy, mógł zobaczyć, jakie usługi w dziedzinie tej współpracy oddaje co dzień talent pedagogiczny i takt dyrektora tamtejszego uniwersytetu. Spółdzielców i młodzież uniwersytecką łączy wielka i serdeczna przyjaźń. „Ul” — bo tak nazywają uniwersytet spółdzielcy i inni chłopcy we wsi — sadi spółdzielcom pomidory w ogrodzie i pomaga w sadzeniu kartofli, w lecie bierze udział w żniwach, jesienią w wykopkach. Co niedziela odbywają się w świetlicy zebrania wiejskich zespołów czytelniczych, lub występy zespołu tanecznego i chóru. Na występy zjeżdżają się mieszkańcy okolicznych wsi. Uniwersytet wyjeżdża często w teren. — Patrzcie, Pawłowice idą — mówią wtedy chłopcy. I wyszukują wśród grupy młodzieży swoje dzieci, albo dzieci znajomych.

Jednym z najbardziej oklaskiwanych programów Pawłowic jest montaż ze „Zoranego ugoru” Szolochowa. Nie znam wiejskiego środowiska świetlicowego, które odgrywałoby taką mobilizującą rolę w środowisku chłopskim. I które byłoby tak lubiane. Podobno są chłopcy, którzy widzieli je już dziesięć razy i przyjeżdżają znowu tam, gdzie są występy, by obejrzeć je po raz jedenasty.

Wszystko, co zostało wyżej napisane o Uniwersytecie Ludowym w Pawłowicach, nie może dać wyobrażenia o życiu tamtejszej młodzieży. Aby pokazać kilka wybranych zagadnień, trzeba było zrezygnować z nakreślenia sylwetek wielu ciekawych ludzi, z ukazania metod pracy szkoleniowej i programu dnia roboczego, który w pracowitym życiu uniwersytetu trwa od 6 rano do 10 wieczorem. Nie wolno było jednak nie pokazać, jakie są rezultaty pracy w pawłowickiej szkole. Temu celowi służyć miały cytowane tu wyjątki z listów.

Ponieważ zaś nikt nie lubi zatajać rzeczy radosnych — nie mogę nie powiedzieć na końcu od siebie, jak silne wrażenie wywarł na mnie krótki pobyt w Pawłowicach. Miałam sposobność rozmawiać z wieloma uczniami i uczennicami i rozmów tych długo pewnie nie zapomnę. Ludzi, których tam spotkałam, cechowała powaga, prostota i żarliwość dla sprawy nowej wsi. Młodzież pawłowicka uczy się i umie być skupioną; tańczy — i umie żartować. Ale nie zdarzyło mi się tam bodaj raz — w takim tłumie ludzi — usłyszeć jakiś głupekawy żart czy ordynarne słowo. Nie znaczy to, że pawłowiccy uczniowie to anioły. Ale ludzie ci, choć młodzi, zastanawiają dużym wyrobieniem i kulturą życia zespołowego. Jasne, że nie przyszli tu już „gotowi” i pełni cnót. Zespół kształtowany być musiał zapewne z oddaniem i przy pomocy wielkiego talentu pedagogicznego. I uniwersytet w Rożnicy stał się cenną, wzorową niemal placówką wychowującą wiejskich działaczy kulturalnych.

JULIA HARTWIG



Fot. Br. Stapiński  
Józef Para w roli Zbigniewa i Jolanta Haniszówna jako Amelia.

## „MAZEPA” W STALINOGRODZIE

NIE WYMENIONY w spisie postaci, nie wspomniany na afiszu teatralnym, jest jednak pewien bohater „Mazepy” Słowackiego, o którym nie należy zapominać. To zamek Wojewody; zamek, w którym dzieje się akcja i z którego architektura i wyglądem wiąże się artystyczno-ideowy kształt utworu.

„Czar był jakiś w tym zamku, w księżycu, ogrodzie  
co mnie obłąkał, ogniem zapalił, miłością”  
— mówi Mazepa w scenie poprzedzającej pierwszy pojedynek ze Zbigniewem.

Czar ten — to także atmosfera zamczyska rządzonego groźną ręką dumnego wielmoży. Nie podobna dobrze zrozumieć dramatycznych założeń „Mazepy” ani logiki wypadków, jeśli się nie uplastyczni w wyobraźni owego starego zamczyska, gdzie na jedno skinięcie władcy zamurów się alkowy lub wyjmują ściany apartamentów.

Słowacki pisząc „Mazepę” był szczerym i precyzyjnym realistą. Jak każdy realista musiał mieć dokładny obraz szczegółów konkretnych. W jego myślach kształtował się jakby poetycki plan zamku, jego piono- wa i pozioma konstrukcja, rozkład pokoi- jów, perspektywa otaczającego go ogrodu.

Chcąc nowocześnie zainscenizować „Mazepę” musimy więc wyobrazić sobie, jak wyglądał ów zamek Wojewody i jaką sceniczną rolę ma odegrać w dramacie. Dokonali takiego wysiłku: inscenizator i reżyser przedstawienia „Mazepy” w Teatrze Śląskim w Stalinogrodzie — Roman Zawistowski oraz scenograf — Wiesław Lange. Zamek nie był tu jedynie tłem scenicznym; cały czas grał, brał udział w akcji. Romański styl architektury, a zwłaszcza głównych, zasadniczych bloków dawał smak owej przestarzałości, archaiczności świata, który już w XVII wieku był przeżytkiem w Polsce — a jednak ciążył przemożnie nad prywatnym i publicznym życiem. Śmiało wysunięte ku przodowi okrągłe linie ozdób barokowych stanowiły dowód, że w tej mieszaninie stylów odbija się walka nurtujących wówczas nasz kraj prądów i myśli.

W tej tragedii Słowackiego nie ma nic z apoteozy; nie ma ani odrobiny żalu za pięknym odchodzącym w przeszłość. W pracy swej „Matejko i Słowacki” pisze Kazimierz Wyka o autorze „Beniowskiego”: „Ten twórca w przejmującym sposobie oświadczył, że umiłowany przeszłości narodowej jest dla niego tylko odskocznią do walki o przyszły, na postępie zbudowany wyraz tego narodu. Świadczył też, że nie jest rzeczą łatwą pogodzić te dwie dążności, że przeszłość ciężarem swej chwasty może się tak położyć na sumieniu artysty, że ten z bólem i trudem będzie się spod niej wyrwał”.

W „Mazepie” nie ma tej walki, tego wewnętrzznego starcia. Postawa poety jest od początku do końca — wyraźna. Jest to postawa krytyczna. Obyczajowość przeszłości magnackiej zostaje w tej tragedii przeciwstawiona obyczajowości i moralności monarchistycznej. W gruncie rzeczy jednak król Jan Kazimierz nie jest lepszym czło-

wiekiem od Wojewody, ani Wojewoda nie odznacza się większą uczciwością czy ludzkością od króla. Kto staje na przekór dumie magnata, tego zniszczyć usiłuje ten bezwzględny pyszałek; kto się sprzeciwia egoistycznym zachciankom króla, tego sprytnie stara się odsunąć z drogi perfidny monarcha.

„Mazepa” ma w polskim teatrze świetne i niezapomniane tradycje; najwybitniejsi aktorzy polscy znajdowali w tym utworze materiał do tworzenia wielkich scenicznych postaci. Do chwili obecnej żyje wśród naszych artystów przechowywana tradycja pamięć o kreacjach Modrzejewskiej w roli Amelii, Bolesława Leszczyńskiego i Józefa Sosnowskiego w roli Wojewody, Rolanda, a przedtem Feliksa Bendy w roli Mazepy. A wielu z nas ma jeszcze w pamięci Karola Adwentowicza jako wspaniałego Wojewodę, Józefa Śliwickiego i Jerzego Leszczyńskiego — znakomitych reprezentantów roli króla, Osterwę wypowiadającego w roli Mazepy wielkie oskarżenie sceny ostatniej czy mówiącego z niezapomnianym wzruszeniem: „Ja bym się dla niej, królu, zranił w serce”.

Nie łatwo współzawodniczyć z taką tradycją. Reżyser stalinogrodzkiego przedstawienia, Roman Zawistowski, starał się zużytkować dotychczasowe zdobycze i osiągnięcia polskiego teatru w pracy nad „Mazepą”. Równocześnie dążył do pogłębienia i rozszerzenia wątków, które nie były dotychczas dostatecznie opracowane.

Mówiliśmy już o sprawie zamku. Władca tej starej magnackiej rezydencji był Roman Hierowski, nie patetyczny, groźny raczej swą zimną i tłumioną zawziętością niż wybuchami gniewu. Kontrast cynicznego i sceptycznego króla tworzył dla niego świetnie w tej roli obsadzony i inteligentnie ją ujmujący Gustaw Holoubek. Józef Para był wojewodzicem Zbigniewem na rozdźwięku między feudalnym zamczyskiem a szerszym tchnieniem dalekiego świata, skąd powraca ten były wychowanek Bolonii. Jolanta Haniszówna w murach tego zamku przeżywała przejmująco niezasłużony los swej Amelii. Adam Kwiatkowski (Mazepa), może trochę jednostronny i za mało wycieniony, miał świetną scenę rzucanych Wojewodzie oskarżeń.

Być może jednak, iż w przedstawieniu za szybko zapada na zamek Wojewody nastroj posępny i groźny. Nie ma narastania tragizmu. Już od pierwszej sceny wrogi ludzom Wojewoda staje się panem placu. Nie wzbudza wesołości opowiadanie Chrzastki, nie rozbawia nas niespodziewane zjawienie się wesołego paza, nie wnoszą żartobliwego nastroju słowa Kasztelanowej.

Konflikt sił społecznych, stanowiący zasadniczą ideę utworu, jest ukazany w sposób wyraźny na tle barwnie i ciekawie zarysowanych osobowości.

Przedstawienie stalinogrodzkie stało się w ten sposób nowym potwierdzeniem aktualności Słowackiego dla naszego teatru, niedocenianej czasem wartości jego dzieł w narodowym repertuarze.

WOJCIECH NATANSON

### NOWOŚCI WYDAWNICTWA „ISKRY”

A. Mularczyk, J. Janicki

#### TOWARZYSZE Z DĄBROWY

Powieść o życiu i walce Hejczyka i Pilarczyka — bohaterów KZM, bestialsko zamordowanych przez granatową policję.  
str. 261  
cena zł. 8.25

M. Słomczyński

#### OPOWIADANIA O SPRAWACH OSOBISTYCH

Cztery opowiadania o konfliktach i przemianach zachodzących w świadomości młodzieży pracującej na wielkich obiektach naszej sześciolatki.  
str. 139  
cena zł. 4.—

J. S. Stawiński

#### HERKULESY

Pierwsza po wojnie powieść z życia studentów.  
str. 332  
cena zł. 13.—

Wznowienia:

G. Morcinek

#### POKŁAD JOANNY

Powieść z dziejów górników śląskich, wyróżniona w r. 1951 nagrodą państwową I stopnia.  
str. 413  
cena zł. 15.—

S. Sempolowska

#### NA RATUNEK

Powieść o bohaterstwie załogi radzieckiego lodolamacza „Krasin”, biorącego udział w akcji ratowniczej ekspedycji polarnej Nobilego.  
str. 228  
cena zł. 8.25

# 7 DNI W HALI MIROWSKIEJ

## WOKÓŁ RINGU

Fot. CAF

**K** TÓREGOS dnia, podczas Bokserskich Mistrzostw Europy, siedziałem na ławce obok zażywnego jegomościa w buraczkowej koszuli. Z drugiej strony zajmował miejsce młody człowiek, wyglądający na spawacza (stałe powtarzał półgłosem: „Ale go zaszejsował”). Obaj gorąco przeżywali walki toczące się na ringu, obaj dawali wyraz swym uczuciom w bardzo różny sposób.

Spocony grubas dał się bez przerwy jak opętany. Miał swoich, z góry wytypowanych faworytów, podkreślił ich nazwiska ołówkiem w gazecie, co znaczyło, że „muszą wygrać”.

Kocham sport, ale jestem człowiekiem spokojnym. Największe nawet wrażenia lubię przeżywać w milczeniu. Tamtemu to wyraźnie nie odpowiadało i gadał, gadał do mnie bez przerwy.

— Widziałeś pan? Panie, widziałeś pan? (odnosiłem czasem wrażenie, że facet ma mnie za ślepego). O, patrz pan na ten cios: To jest bokser — mówił o Szczerbakowie — Tu, tu — podtykał mi pod nos pokreślony ołówkiem „Przegląd Sportowy” — tu jest, panie, przeze mnie podkreślone nazwisko: musi wygrać!

Trzeba przyznać, że mój rozmowny sąsiad mylił się niezwykle rzadko. Kiedy jednak „jego” bokser bywał, jak mówił sąsiad z drugiej strony, „szwejsowany”, grubas dostawał ataku szału. Miotał się na swym miejscu, rozpiął nagłym ruchem kołnierzyk koszuli i dał się:

— Lewą! Lewą, bo przegrasz! Zebyscie go wtedy słyszeli. Potrafił wydobywać z siebie krzyk w różnych, że tak powiem, barwach i odcieniach. Jego głos był raz nakazujący, to znów proszący, albo rozpaczliwy.

Cieszył się, kiedy „jego” zawodnik wygrał, ale gdy szuszerował, nie miał dlań litości.

— To baran — mówił wtedy tonem pogodnym, w którym mimo zawodu, czuło się nutkę sympatii dla boksera — przecież trzeba było na dystans, a on pchał się do zwarcia...

I tak przez bite trzy godziny dopingował Drogosza i Jengibariana, Lincę i Antkiewicza...

Drugi entuzjasta boks, ten z prawej strony, był zupełnie inny. Siedział cichutko, jakby zastrachany i jakby zagubiony w ogromnej hali. Ręce trzymał na kolanach, często je wycierając o spódnie. Mówił coś do siebie pod nosem, z czego rzadko bardzo udało mi się wychwycić jakieś: „O rany Julek...” albo nie schodzące mu z ust „szwejsowanie”.

W pierwszym dniu ćwierćfinałów los rzucił mnie na najwyższą ławkę trybuny, zbudowanej na miejscu dawnej widowni. Obok siedział kapral. Zdjął zielony, drelichowy mundur i pozostał w białej gimnastycznej koszulce, mocno się wachlując czapką z złotym otokiem. To musiał być bokser. Jego uwagi wypowiedziane spokojnym tonem były rzeczowe i zawsze słuszne.

Rozgadaliśmy się na temat mistrzostw i kapral powiedział stanowczo:

— Poziom jest wysoki, ale najlepszy nasi, radzieccy i chyba Węgrzy.

Przyznałem mu rację. Patrzyliśmy na siebie z powagą, jak ludzie, którzy się doskonale rozumieją.

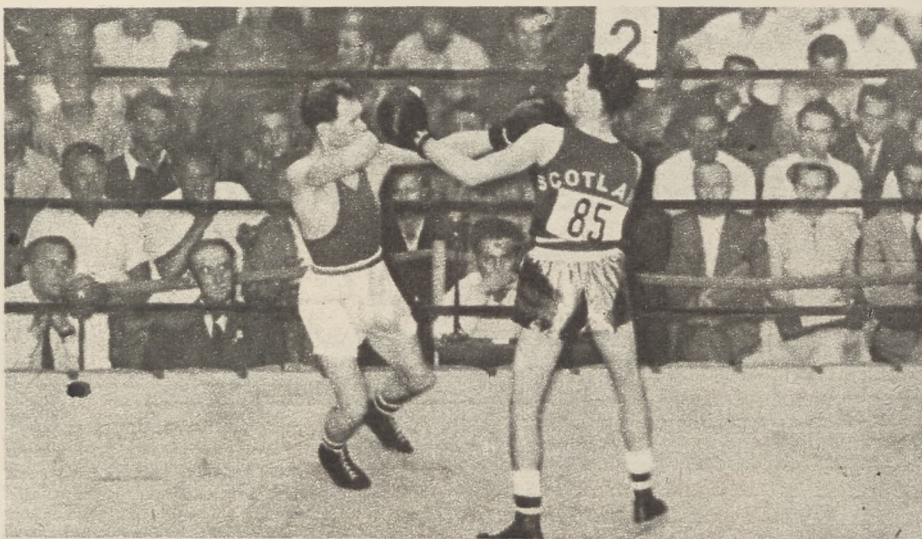
Kiedy po walce Chychły z Niemcem Heidemanem na widowni zapanowała nieprzyjemna cisza i siedzący wokół nas mówili coś o przegranej naszego mistrza, żołnierz zdenerwował się po raz pierwszy. Zaczął mówić gdzieś w powietrze, ale wiem, że zwracał się do siedzących przed nami mal-kontentów:

— Trzeba się znać, a potem biadać. Postawiłbym pana na ringu przed tym Niemcem, ciekawe jak pan byś go trzymał na dystans: Zygmunt (myślał o Chychle) bił się nienajlepiej, ale wygrał w cuglach. Wszystkie ciosy miał czyste i dużo ich zadał. Trzeba umieć patrzeć. A Niemiec co? Machał rękami i tyle. Trafiał, ale to nie były ciosy, tylko gła-skanie.

Niezupełnie zgadzałem się z opinią mego sąsiada o wartościach Heidemana, ale tak samo jak on, byłem przekonany o zwycięstwie Polaka. Dlatego nie powiedziałem nic, kiedy po ogłoszeniu zwycięstwa Chychły, klepnął mnie w kolano, aż jęknęło coś w kościach, i powiedział spokojnie.

— A nie mówiłem?

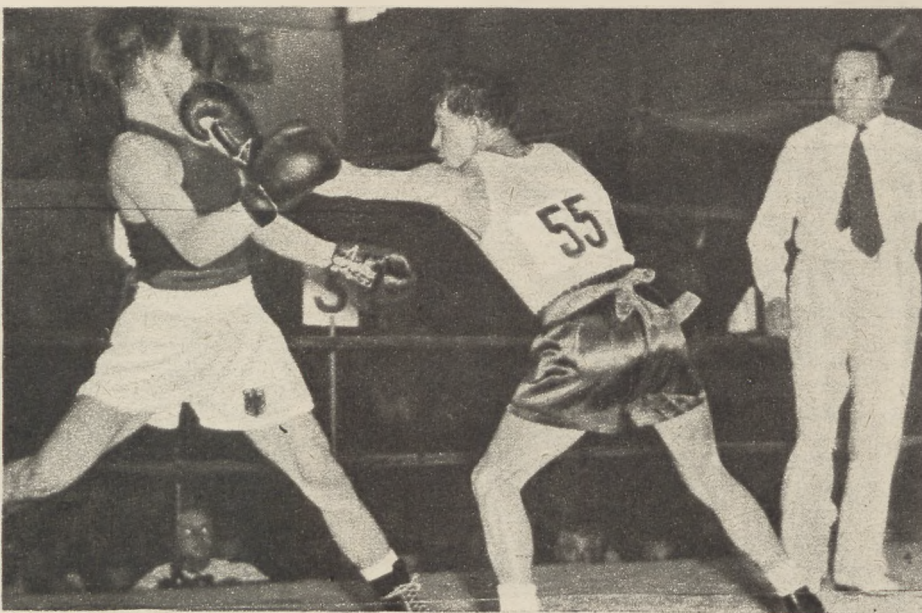
STANISŁAW PIOTROWSKI



Doskonały bokser, Szkot Currie (z prawej), uległ radzieckiemu mistrzowi Bula-kowowi (z lewej), którego z kolei w zaciętej walce pokonał Polak Kukier.



Współtwórca wielkich sukcesów naszych pięściarzy, zasłużony trener Feliks Sztam (z lewej), może być dumny ze swych wychowanków. Obok niego — trener Szydło.



Lewy prosty pięściarza polskiego Kukiera, wylądował na szczęce wicemistrza olimpijskiego, Basela (Niemcy zachodnie). Polak wygrał tę walkę w pięknym stylu.

## SERDECZNE MISTRZOSTWA

**Z**AWODNICY schylają się. Przekraczają bandę. Na łupinie ringu, umieszczonego pośrodku wielkiej, oszklonej hali, falującej oceanem głów ludzkich, wyglądają jak dwaj przyjaciele.

Oto podchodzą do siebie. Ściskają się za ręce. Wymieniają uśmiechy. Ich twarze tchną życzliwością. W sali zamiera szmer rozmów. Bokserzy powracają do swych, narodziłków. Białe ubrane sędzią ringowy, wsparty o liny bandy, poprawia czarną muszkę u kołnierza koszuli, istotny szczegół swego „urzędowego” kostiumu. Nad zawodnikami nachylają się sekundanci. Pomagają im zdjąć szlafroki, udzielają ostatnich rad. Pada zapowiedź speakera:

— Ring wolny! Pierwsze starcie...

Poważnie dźwięczy gong. Bokserzy przybierają bojową postawę. W jednej sekundzie zmieniają się. Są skupieni, czujni na każdy ruch przeciwnika. W minutach walki pragną zademonstrować całą swą siłę, umiejętności techniczne, zręczność, szybkość... Kolejne spotkanie o zaszczytny tytuł amatorskiego mistrza Europy w boksie trwa...

Ciepłe, warszawskie dni majowe są pełne niezapomnianego oroku. Boks, ten szlachetny sport, któremu oddają się z zapalem setki tysięcy zawodników, którym pasjonują się miliony ludzi, jest jednocześnie sportem najbardziej wykoślawionym przez zawodowych menażerów. Brudne afery geszefciarzy uczyniły z niego obrzydliwe widowisko. I warszawskie mistrzostwa Europy są jeszcze jednym, kolejnym wyzwaniem rzuconym tym, którzy pragnęliby piękno wysiłku fizycznego, tak jak inni wzniosłą mądrość nauki czy sztuk pięknych, wtłoczyć w ciasne ramy sprzeczne z ich istotą, uczynić z nich źródło niezdrowych sensacji, oddalić od służby dla człowieka.

Dobrze się stało, że X Bokserskie Mistrzostwa Europy zostały zorganizowane w Warszawie. Postawny, sympatyczny prezes Międzynarodowej Federacji Boks Amatorskiego, pan Gremaux, otwierając Mistrzostwa, mówił o niezapomnianych wrażeniach, jakie zawodnicy wyniosą z przylęcia w Warszawie. Pan Gremaux przemawiał z ringu otoczony sztandarami dziewczętną państw biorących udział w Mistrzostwach. Zawodnicy, tworzący pocztę sztandarową, w różnobarwnych kostiumach opatrzonych godłami swych krajów, spowici w blask reflektorów, przyciągali spojrzenia tysięcy widzów. Gdy znikli we wnętrzu korytarza, na ring wyskoczyli trabacze. Zabrzmiły fanfary, ogłaszające rozpoczęcie zawodów.

Dumni jesteśmy, że przypadł nam w udziałie zaszczyt organizowania X Mistrzostw Bokserskich Europy, i jednocześnie szczęśliwi, że mogliśmy okazać naszym miłym gościom całą serdeczność, „zarazić” ich warszawską atmosferą przyjaźni, atmosferą budowy i wiary w jutro. Niezwyciężona siła szlachetnego, popartego codziennymi czynami optymizmu — jest przecież czymś z gruntu najbardziej sportowym. Prawdziwy sportowiec najprędzej i najlepiej potrafi zrozumieć i odczuć piękno i moc odradzającego się naszego miasta.

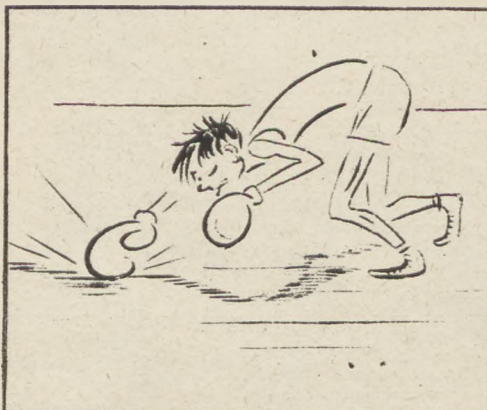
Wracamy jednak na ring, na którym toczy się walka między dwoma poważnymi kandydatami do tytułu mistrzowskiego w wadze koguciej, Irlandczykiem Mac Nally, wice-mistrzem olimpijskim, i Mulałem z Martyniki, Francuzem Martin. Walka jest piękna. Obydwaj zawodnicy prezentują nienaganny, precyzyjny boks. Ciemny Mulał wygląda jak cień jasnego Irlandczyka. Ruchy obu bokserów są znakomicie zharmonizowane. Ciosy Mac Nally'ego szybki Martin wychwytuje na rękawice lub omija błyskawicznymi unikami. Z kolei Mac Nally odskakuje, Martin, zwinny, urodzony bokser, usiłuje wypracować dogodną pozycję do zadania ciosu. Porywająca wzajemna licytacja taktycznych pomysłów, zwinności, bojowości. Sala na przemian obdarza gorącymi oklaskami jednego, to drugiego boksera. Widzowie są wdzięczni zawodnikom za wspaniałe widowisko. Zakończenie spotkania głośną tysiączną brawą — podziękowanie publiczności. Sędziowie ogłaszają wynik: zwyciężył na punkty Mac Nally. Martin — ociągając się — wymienia pożałowania godny uścisk dłoni ze swym przeciwnikiem. W szatni wybucha płaczem. Zdaje mu się, że został pokrzywdzony.

Martin, jak każdy bokser, startujący w X Mistrzostwach Europy, marzył o zdobyciu mistrzowskiego tytułu. Ile pracy, ile wysiłków, poświęceń wymagało oszlifowanie formy. Ambicja, dążenie do osobistego sukcesu były ich nieodłącznym towarzyszem. Lecz podstawowa zasada sportu, że lepszy powinien zwyciężyć, nie koliduje z nimi, przeciwnie, wypływa z nich.

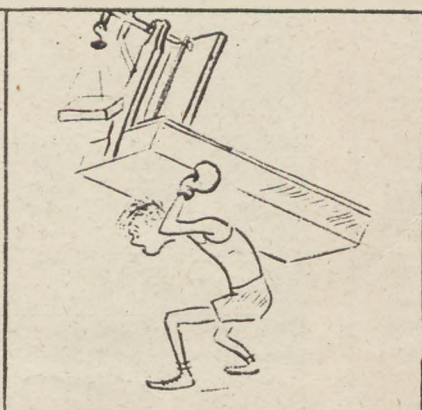
Podczas następnych walk patrzymy na Martina. Siedzi w łożu przeznaczonym dla zawodników i obserwuje przebieg rozgrywek. Oklaskuje udane ciosy. Już otrząsnął się z chwilowego załamania. Z pewnością nie będzie szczędził oklasków Mac Nally'emu, jeśli ten w ćwierćfinale odniesie zasłużone kolejne zwycięstwo. A my z pewnością nieraz jeszcze dowiemy się o sukcesach ciemnoskórego Francuza...

Cieszymy się z dobrej postawy polskich bokserów, podziwiamy pełnowartościowy boks, jaki prezentują radzieccy sportowcy. Oklaskujemy każdy zasłużony sukces, dziękujemy zawodnikom za każdą piękną walkę. Mistrzostwa warszawskie naprawdę były mistrzostwami serdeczności, mistrzostwami prawdziwej przyjaźni. I ta atmosfera zwycięskiego i wciąż zwyciężającego braterstwa jest ich największą wartością.

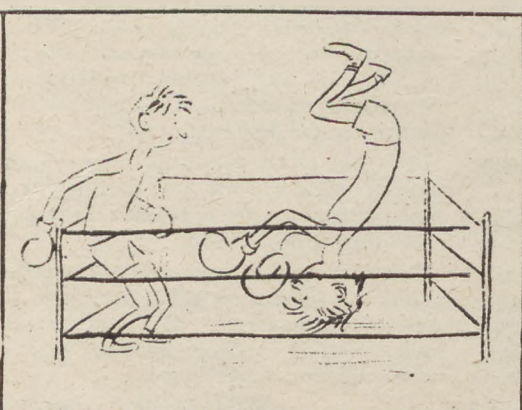
JERZY PYTLAKOWSKI



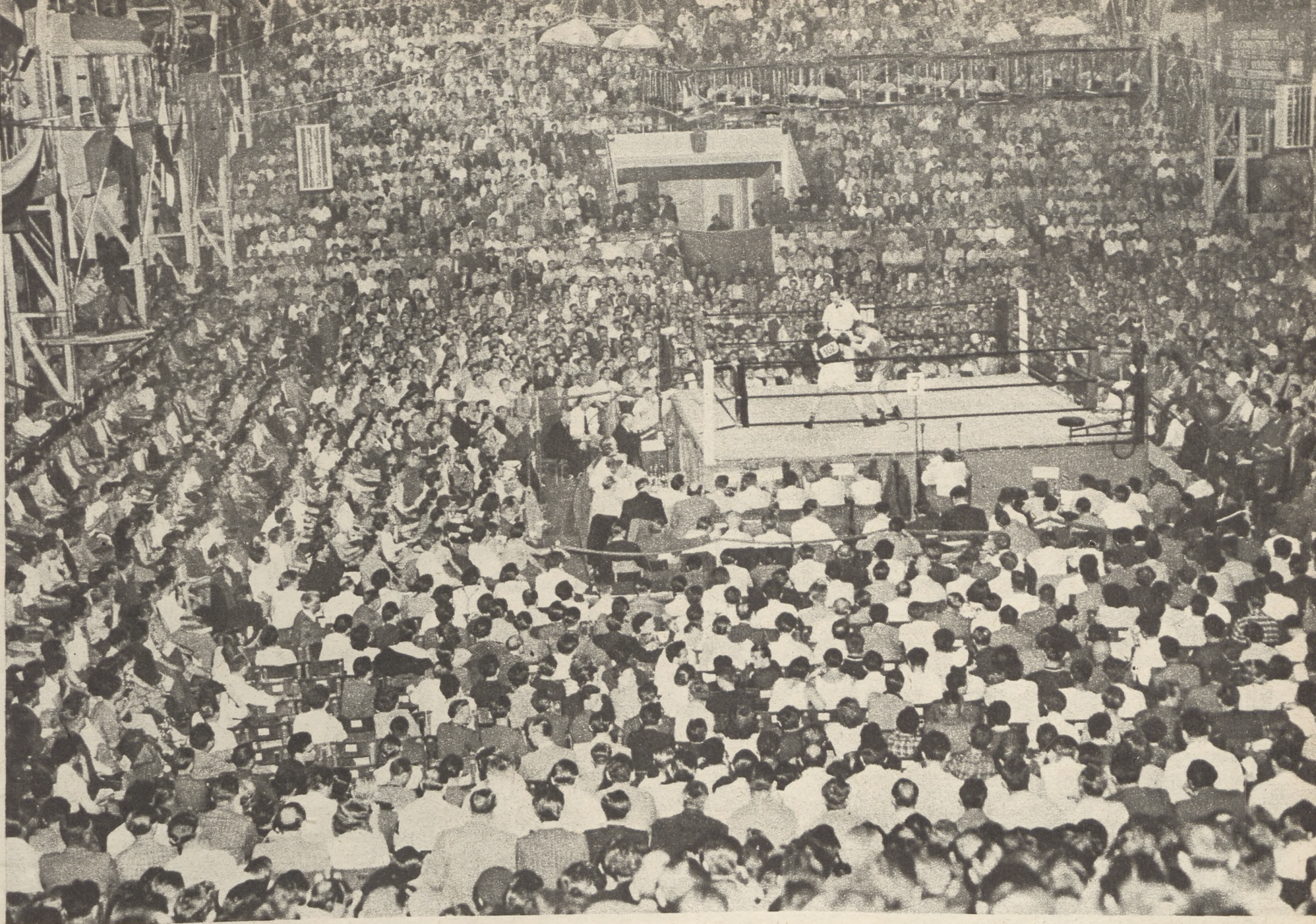
WALKA Z CINIEM



WAGA CIĘŻKA



IDZIE GŁOWA



Fot. Zdzisław Małek

# PODSTAWY NASZYCH SUKCESÓW

**119** NAJLEPSZYCH pięściarzy Europy stanęło na warszawskim ringu. 119 czołowych bokserów, którzy na swym koncie mają już niejedną wielką sukces międzynarodowy, niejedno sławne zwycięstwo, rozpoczęło 18 maja walki o zaszczytne tytuły mistrzów Europy.

Na liście startowej widzieliśmy nazwiska znane i uznane od lat: mistrzowie i wicemistrzowie olimpijscy, mistrzowie i wicemistrzowie Europy, wielokrotni mistrzowie swych krajów... Wśród tej plejady słynnych nazwisk, obok Hamalainena, Pappa, Tity, Basela, Mc Nally, Antkiewiczza, Soczikasa, Chychły, Miednowa, Sjoelina i innych, znaleźli się młodzi, nieznani jeszcze szerszemu ogółowi zawodnicy, tacy jak Drogosz, Stiepanow, Zasuchin, Stefaniuk, Milligan, Koutny, Tiszin czy Węgrzyniak.

I właśnie ci młodzi, ambitni pięściarze stali się rewalacją turnieju warszawskiego, odnosili wspaniałe zwycięstwa, eliminowali bardziej znanych, bardziej rutynowanych bokserów.

Pamiętamy wszystkich porwijące walki, jakie oglądaliśmy w hali Mirowskiej. Nie można zapomnieć Leszka Drogosza, boksera o fenomenalnym refleksie, o błyskawicznej, celnej kontrze, zawodnika, który może być wzorem strategii ringowej.

Nie można zapomnieć wspaniałego punczera radzieckiego, Zasuchina, pięściarza, który swym potężnym prawym sierpem nokautował kolejnych przeciwników.

Nie można zapomnieć ambitnej postawy Kukiera, który kolejno pokonał wicemistrza olimpijskiego Basela i akademickiego mistrza świata Bułakowa — zawodników, którzy w poprzednich latach odnosili nad nim zwycięstwa.

Trudno nie składać rąk do oklasków, gdy widzi się pełną ambicji i poświęcenia walkę Fina Niinivuori, który nigdy,

w beznadziejnych zdawało by się sytuacjach, nie rezygnował z walki o zwycięstwo.

Dwudziestu tylko pięściarzy znalazło się w finałach. Dziewięćdziesięciu zwycięzców zawodników, którzy przez długie miesiące przygotowywali się pilnie do startu, zostało po drodze — odpadło w kolejnych eliminacjach. Tych dwudziestu, którzy toczyli między sobą zacięte walki o mistrzowskie tytuły, to najlepsi spośród najlepszych, to pięściarze, którzy nie tylko w Europie, ale i w świecie zajmują przodującą pozycję.

Dziś, gdy mamy już X Bokserskie Mistrzostwa Europy za sobą, możemy pokusić się o przeprowadzenie pierwszego, wstępnego ich podsumowania.

Organizatorem mistrzostw była Polska. „Trudno będzie wam dorównać” — powiedział w wywiadzie udzielonym prasie przewodniczący Międzynarodowej Federacji Bokserskiej (AIBA), pan E. Gremaux. I rzeczywiście. Wszyscy nasi goście zachwyceni byli opieką, jaką rozłożyli nad nimi nasi organizatorzy, a przede wszystkim naszą polską gościnnością.

Przyjechała do nas, do naszej bohaterkiej stolicy młodzież 18 krajów. Przyjechali do nas najlepsi pięściarze-amatorzy Europy, by w szlachetnej rywalizacji sportowej, w duchu zbliżenia między młodzieżą świata, walczyć z całą ambicją o uzyskanie zwycięstw dla swych krajów.

Sportowa i braterska była atmosfera mistrzostw. Młodzi chłopcy w sekundę po zakończeniu walki wymieniali serdeczne uściski dłoni, a potem na kwaterach długo jeszcze dyskutowali o niedawnych spotkaniach. Pięściarze wielu krajów odwiedzali się wzajemnie, składali sobie przyjacielskie wizyty, chodzili na wspólne spacerki, oglądali z podziwem naszą pokojową pracę, naszą MDM, trasę WZ, osiedla mieszkaniowe, z zain-

teresowaniem i podziwem przyglądali się budowie Pałacu Kultury i Nauki im. Stalina, tego pałacu, który stał się symbolem pokojowej, przyjaznej współpracy między narodami.

Tak jak kolarze VI Wyścigu Pokoju „Trybuny Ludu”, „Neues Deutschland” i „Rudeho Prava”, pięściarze startujący w X mistrzostwach Europy wywieźli od nas niezapomniane wrażenia. Tak jak kolarze Wyścigu Pokoju, pięściarze stanęli w znakomitej większości naszymi propagatorami za granicą, będą opowiadać kolegom i przyjaciółom o tym, co zobaczyli w Polsce. A to co zobaczyli — to pokojowa praca, to co odczuli — to serdeczność.

A bilans sportowy mistrzostw?

Impreza na warszawskim ringu była nieprzerwanym pasmem sukcesów pięściarzy polskich, radzieckich, węgierskich, rumuńskich. Mamy już piękne tradycje pięściarskie. Starsi miłośnicy boks pamiętają nazwiska Kolczyńskiego, Polusa, Czortka, Pisarskiego i wielu dawnych mistrzów. Nigdy jednak boks polski nie święcił takich triumfów, jak w maju 1953 roku. Nigdy nie było tylu Polaków w finałach mistrzostw Europy.

Wspaniałe postępy, które zaimponowały każdemu uczestnikowi mistrzostw mają za sobą pięściarze radzieckie. Radziecka młodzież pięściarska — Stiepanow, Zasuchin, Jengibarian, Łuknianow czy Tiszin — dowiodła, że boks radziecki utrzymał już na zawsze swą przodującą w świecie pozycję, że jego reprezentanci nawiążą z każdym przeciwnikiem walkę, do której nigdy nie staną bez szans.

Duże postępy i sukcesy mają za sobą młodzi pięściarze Rumunii i Bułgarii. Z sukcesami wrócili z mistrzostw reprezentanci Węgier i CSR.

Mistrzostwa wykazały równocześnie, że przodujący niegdyś w Europie boks

francuski, włoski czy angielski, utracił już swą pozycję. Ani jeden Francuz nie zakwalifikował się do półfinałów. Odpadli wszyscy Włosi. Dobrze wyszkoleni technicznie pięściarze angielscy również nie zdobyli spodziewanych sukcesów.

Każdy zapyta gdzie leżą przyczyny tej poważnej, decydującej zmiany w układzie sił amatorskiego boks europejskiego.

Są one jasne i oczywiste. Bodaj najlepiej określił je główny współautor naszych sukcesów — nasz najlepszy trener pięściarski — Feliks Sztam. Gdy jeden z działaczy fińskich spytał go czy wymyślał jakąś nową receptę przygotowywania pięściarzy do ciężkich turniejów — Sztam odpowiedział:

„Nad rozwojem sportu i kultury fizycznej czuwa w naszym kraju władza ludowa, która przez masowy sport dąży do zapewnienia społeczeństwu jak najlepszych warunków zdrowotnych, która nie szczędzi opieki i pomocy dla wszystkich sportowców”.

Jasne są w tym świetle przyczyny sukcesów pięściarzy polskich, radzieckich, reprezentantów krajów demokracji ludowej.

Wychowanie sportowca na świadomego swych obowiązków reprezentanta barw narodowych, zapewnienie mu jak najlepszych warunków rozwoju, trening oparty na naukowych podstawach, a wreszcie nieustanna walka o jak najszersze umasowienie każdego sportu — to powody, dla których odnosimy i odnoszić będziemy coraz większe sukcesy sportowe na międzynarodowych arenach.

Radziecka szkoła sportu, wzory radzieckiej kultury fizycznej, które przejęliśmy w naszej codziennej pracy prowadzą nas do sukcesów i zapewniają dalsze zwycięstwa.

WŁODZIMIERZ GOŁĘBIEWSKI

# „CZARODZIEJ“ SWASTYKI I DOLARA

(3)

MARIAN PODKOWIŃSKI

**W**JEDNYM z tych przemówień Schacht powiedział: „Jeden z żyjących wielkich Amerykanów wyraził się niedawno, że „Ameryka jest zbyt bogata, aby była lubiana...“ Wydaje mi się, że druga część tej myśli nie jest trafna. Sądzę, że z tego bogactwa należy uczynić właściwy użytek... a w tedy bogactwo USA wyjdzie na pożytek obu stronom...”

Aluzja Schachta została dobrze zrozumiana na Wall Street. Przed odjazdem do Niemiec Schacht konferuje w zacisznych gabinetach imperium Morgana. Stawka idzie na Hitlera.

Sukces Schachta oceniła natychmiast hitlerowska prasa. Poseł do Reichstagu i jeden z założycieli NSDAP, hr. Reventlow (w którego monachijskich salonach Hitler w roku 1920 stawiał pierwsze kroki w polityce), urządził mu owację na sesji komisji zagranicznej Reichstagu, dziękując Schachtowi „za umiejętność i sposób, w jaki przedstawił on Ameryce narodowy socjalizm i jego cele...”

Było to niejako oficjalne zaproszenie Schachta do współpracy z NSDAP. Obie strony widziały bowiem w niej korzyści: Schacht rozumiał, że tylko hitlerowcy pójda pełną parą na zbrojenia i dlatego będzie ich popierał ciężki przemysł, NSDAP wiedziała zaś, że nie znajdzie lepszego pośrednika wśród bankierów jak Schachta, owego fakira, który już raz pokazał, że potrafi ujarzmić „święte węże” Zagłębia Ruhry.

W grudniu 1930 roku Schacht przybywa na stałe do Berlina i wynajmuje mieszkanie w Wilmersdorfie. Jest obecnie wdowcem. Jego córka, Ingeborga, wychodzi za mąż za bankiera van Scherpenberga, który „robi” w stali. Schacht oddaje młodej parze swój majątek ziemski Gut Gühlen koło Lindow, w Brandenburgii.

W tym samym czasie również wodzowie NSDAP przenoszą się do Berlina i wynajmują całe piętro w hotelu „Kaiserhof”. Goebbels zostaje „gauleiterem” Berlina, zakłada ludobójczy „Der Angriff”, Goering zaś opuszcza Monachium i zamieszkuje odtąd w Wilmersdorfie przy Badschenschen Strasse. Schacht i Goering stają się niemal sąsiadami.

Pierwsze oficjalne spotkanie z Goeringiem nastąpiło po świętach Bożego Narodzenia 1930 roku. W swoich zeznaniach przed Trybunałem Norymberskim Schacht przyznaje, że jego przyjaciel, dyrektor Deutsche Bank, von Strauss, zaprosił go na kolację, ponieważ „Goering wyraził chęć” osobistego poznania b. prezydenta Reichsbanku. „Tam właśnie spotkałem Goeringa, który wtedy wyglądał jeszcze bardzo skromnie — powiada Schacht w Norymberdze. — Odniosłem nawet wrażenie, że smoking, jaki miał na sobie, nie był jeszcze zapłacony. Po krótkiej rozmowie Goering z kolei zaprosił mnie na 5 stycznia 1931 roku do swego mieszkania na kolację...”

— Kolacja u Goeringów była więcej niż skromna — ciągnął dalej Schacht. — Podano grochówkę i jakieś mięso. Ale deser był znacznie ciekawszy. Po kolacji przyszedł Fritz Thyssen, pierwszy ordonownik Hitlera wśród magnatów Zagłębia Ruhry, nieco później zjawiał się sam Hitler w towarzystwie Rudolfa Hessa. „Hitler wy-

głosił nam dwugodzinną pogadankę o swoich planach politycznych, które bardzo nam przypadły do gustu...” (podkreślenia moje, przyp. autora). Pogawędka między przedstawicielami monopolistycznego kapitału niemieckiego a przywódcami NSDAP przeciągnęła się do późnej nocy. Było też o czym mówić!

W tym czasie, kiedy całe Niemcy mówią o „marszu” Hitlera na Berlin, gdy na ulicach miast niemieckich hulają i mordują szturmówki Stennesa, Heinesa i Roehma, Schacht staje się agitatorom narodowego socjalizmu za granicą. Wygłasza przemówienia w Kopenhadze, w Sztokholmie, w Bernie, aby „uspokoić” opinię publiczną tzw. neutralnych krajów, na których kapitały liczy Schacht w swoich planach finansowych na wypadek objęcia władzy przez Hitlera.

Po powrocie z zagranicy Schacht spotyka się z Hitlerem i Hugenbergiem. Tłumaczy im, że nie ma sensu rozdrabniać „narodowe” siły, że czas skończyć ze sporami w „wielkoniemieckiej rodzinie”. Zarówno paramilitarny „Stahlhelm”, jak i szowinistyczny „Związek Wszech Niemców” popierają idee Schachta utworzenia wspólnego frontu. Mówi się nawet o fuzji nacjonalistycznych stronnictw. W końcu Hitler zgadza się na konferencję z „Narodowo-niemiecką partią ludową” Hugenberga, pod warunkiem, że połączona ona będzie z pierwszą defiladą SA.

Schacht obejmuje rolę dyrygenta. W ten sposób dochodzi do sławetnego „Frontu Narodowego” w Bad Harzburg, gdzie 11 października 1931 roku spotykają się przyszli grabarze weimarskich Niemiec. Junkrzy pruscy pospół z magnatami Nadrenii i bojówkarzami Hitlera wysłuchali programowego przemówienia Schachta, pełnego jadu i nienawiści do wszystkiego, co było postępowe i liberalne w republice. „Berliner Tageblatt” nazwał wystąpienie Schachta „wojennym przemówieniem”. Zebrani w kursału harzberskim Hitler i Hugenberg, Seldt i Duesterberg, hr. von Kalkreuth i Fritz Thyssen, Hess i Roehm, książę Salm-Horstmar i bankier von Strauss, tajny radca Class i „gauleiter” Victor Lutze, generałowie von Seeckt i von der Goltz, słowem przywódcy wszystkich nacjonalistycznych ugrupowań od „Związku Reńskiego” do NSDAP, od Stahlhelmu do sztabu generalnego Reichswehry, zgotowali Schachtowi wielką owację. Nie darmo minister finansów Papena, następnie zaś Hitlera, późniejszy zbrodniarz wojenny Lutz hrabia Schwerin von Krosigk stwierdził w swoim pamiętniku, że „od chwili wygłoszenia swojej mowy w Harzburgu, Schacht stał się jednym z owych proroków, na którego przysięgali narodowi socjaliści. Przemówienie to przyczyniło się w poważnym stopniu do późniejszych sukcesów wyborczych NSDAP, w końcu zaś i do ostatecznego zwycięstwa...”

12 października 1931 roku „Stuttgarter Neues Tageblatt” podało dokładny opis wojskowej parady SA przed Hitlerem, Schachtem i generacją. Generałom bez wojska pokazał wtedy Hitler, że może im ofiarować miliony żołnierzy oraz perspektywę nowych podbojów i awansów.

Schacht zaś wskazywał rekinom przemysłu na milio-



Na procesie w Norymberdze Schacht zeznał, że plany polityczne Hitlera niezwykle przypadły mu do gustu...

nowe zyski, które czekają ich, jeśli pomogą Hitlerowi zagarnąć władzę w państwie.

Kapitałiści i generałowie zapamiętali sobie ów spektakl z Bad Harzburg!

## VII.

Tymczasem trzeba było gromadzić pieniądze na fundusz partyjny NSDAP, która gotowała się do nowego skoku: ustąpił bowiem rząd Brueninga i Papen został kanclerzem Rzeszy. A kasy Hitlera nie były pełne. Milionowe oddziały SS i SA domagały się natychmiastowego żołdu i nowych mundurów. Goebbels obliczał nową kampanię wyborczą na dobre kilka milionów marek.

Sojusznik Schacht obiecał pieniądze, ponieważ nie wierzył w możliwość istnienia gabinetu baronów Papena. Dlatego Schacht starał się przy pomocy Thyssena i Kirdorfa, przekonać monopolistów niemieckich, że nie Papen czy generał Schleicher zapewnią im maksymalne zyski, ale tylko Hitler. On bowiem stawia na zbrojenia i wojnę.

Większość przemysłowców i bankierów już dawno zresztą jawnie lub tajnie finansowała ruch Hitlera. Pomoc finansowa i moralna magnatów Westfalii i Nadrenii datuje się od pierwszej chwili powstania NSDAP, której patronował generał Ludendorff i milionier Arnold Rechberg, ten sam „król cementu”, który jeszcze przed monachijskim puczem 1923 roku nawoływał w „Voelkischer Beobachter” do krucjaty przeciwko Związkowi Radzieckiemu. Rechberg pakował miliony we wszelkie rewizjonistyczne i szowinistyczne organizacje. Już w roku 1921 znaczne fundusze zebrał na NSDAP taki potentat niemieckiego przemysłu, jak Ernst von Borsig, właściciel wielkich zakładów metalurgicznych i budowy lokomotyw. Fritz Thyssen, właściciel wielkich stalowni w Hamborn, Friedrich Minoux z koncernu Stinnesa i znany fabrykant fortepianów, Bechstein, nie żalowali poważnych subsydiów dla borykającej się z materialnymi niedostatkami partii Hitlera. Druga fala pomocy finansowej ze strony ciężkiego przemysłu nadeszła po wypuszczeniu Hitlera z więzienia, kiedy ten nie miał grosza przy duszy, a jego partia była w rozpacz. W r. 1925 koncern drukarski Adolfa Muellera dał pierwszy kredyt Hitlerowi na wznowienie partyjnej gazety i wydanie „Mein Kampf”. Z długiej listy patronów Hitlera należy dla przykładu wymienić takie grube ryby, jak Emil Kirdorf z Duesseldorfu, Hugo Stinnes z Mühlheim oraz król prasy i filmu Alfred Hugenberg. „Bruźlatny Dom” w Monachium, rozbudowany przez Hitlera i Hessa stary pałac Baerlowa przy



Następcą Roehma mianowany został prezydent Hannoveru, gauleiter Victor Lutze herszt SA.



Przywódca brunatnych szturmówek — Roehm, był jednym z ludzi popierających dr Hjalmara Schachta.



Herman Goering w 1931 roku. Wtedy — opowiadał Schacht — wyglądał on jeszcze bardzo skromnie.

21

# TEATR ŚWIAT

Redakcja i tekst: JAN SZELĄG  
Dekoracje i kostiumy: HA-GA

## KLIKA

Obrazek w jednej odsłonie



**DZIENNIKARZ:** To wy, obywatelu Krzyk, przysłaście do naszej redakcji list ze skargą, że w waszej instytucji panuje klika?

**KRZYK:** Ja przysłałem.

**DZIENNIKARZ:** Właśnie zdziwiła nas ta skarga, bo instytucja, w której pracujecie, znana jest raczej z tego, że panują w niej dobre, zdrowe stosunki.

**KRZYK:** Nie wiercie temu! Wszystko klika! Czego nie dotkniecie, wszystko jedna ferajna. Dorwali się!

**DZIENNIKARZ:** Bardzo chciałbym, żebyście, obywatelu Krzyk, dali jakieś dowody.

**KRZYK:** Proszę bardzo. Weźmy na przykład radę zakładową. Kto do niej wchodzi? Nowakowski, Grzebyk, Kowalski, Nowakowa...

**DZIENNIKARZ:** Czy to rodzina?

**KRZYK:** Skąd rodzina? Klika.

**DZIENNIKARZ:** No dobrze — klika. Ale na czym to polega?

**KRZYK:** Jak to na czym? Na tym samym, co w naszym ZMP. Tu też macie taki zarząd: Kowalczykówna, Pietras, Gołębiowski...

**DZIENNIKARZ:** Te nazwiska nic mi nie mówią. Na czym to polega, że ci ludzie stanowią klikę? Czy nie pracują zespołowo, czy pracują źle, robią jakieś świństwa, załatwiają swoje prywatne sprawy?

**KRZYK:** Jeszcze nic nie rozumiecie. A kto gazetkę ścienną redaguje?

Kaczmarczyk, Podlesny, Kwiatkowska.

**DZIENNIKARZ:** No to co?

**KRZYK:** Jeszcze nie rozumiecie. A ja gdzie?

**DZIENNIKARZ:** Ach, o to chodzi. Czy rzeczywiście nigdy was nie wysunęto do żadnej pracy społecznej?

**KRZYK:** Owszem, wysunęto. Zrobił mnie raz redaktorem gazetki ściennej, ale po trzech miesiącach mnie zdjęto.

**DZIENNIKARZ:** Niedobra była ta wasza gazetka?

**KRZYK:** Niedobra! W ogóle przez ten czas nie wydałem gazetki. Dla kliki będę się wysilał!

**DZIENNIKARZ:** No a poza tym nie zajmowaliście się żadną pracą społeczną?

**KRZYK:** Chciałem, ale nie dopuszczają. Do zarządu ZMP, mówią, że jestem za stary. Czterdzieści osiem lat i za stary! Do klubu racjonalizatorów nie przyjmują, bo mówią, że muszę przedtem dać jakiś pomysł racjonalizatorski. W kole sportowym mówią, że-

bym najpierw przestał wódkę pić. Nawet w kole Łągi Kobiet powiedziały mi baby, że nic tam po mnie, bo tam tylko kobiety. Klika i tyle!

**DZIENNIKARZ:** No a w waszej instytucji takich prześladowanych jak wy, obywatelu Krzyk, odsuniętych od wszystkich, od pracy społecznej, od organizacji społecznych, jest wielu?

**KRZYK:** Jak to wielu? Nie rozumiem was, obywatelu dziennikarzu.

**DZIENNIKARZ:** No i tu, czy połowa, czy trzy czwarte załogi tak jest prześladowanych przez tych, którzy zagarnęli sobie prawo, żeby być aktywistami.

**KRZYK:** Jak to połowa czy trzy czwarte? Czy może 99 procent? Ja jeden jestem odsunięty i prześladowany, a wszyscy pracują ile chcą. Bo mówią, że czego się tknę to zawalę. Mówili mi na początku: wszystko klika!

**DZIENNIKARZ:** Hm. To my chyba, obywatelu Krzyk, o tej kliki w waszej instytucji nie napiszemy. Raczej o jednym szkodliwym krzykaczku.

**KRZYK:** No oczywiście! Klika!

KURTyna



## NOWE KSIĄŻKI

Na rynku księgarskim ukazały się ostatnio następujące nowości wydawnicze z zakresu polskiej prozy współczesnej:

**JAN FELIS** — *Życie za dniówkę* (PIW, s. 194, zł 2.40) — książka, oznaczona II nagrodą na konkursie Polskiego Radia na wspomnienie robotnicze. Autor, syn malorolnego chłopca, robotnik, opisał historię swego życia do roku 1939. Jest to historia typowa dla szerokiego mas robotniczego w Polsce przedwzrostowej w warunkach wzrastających kryzysów i bezrobocia. Głębokie konflikty klasowe, pauperyzacja najszerszych mas robotników i chłopów, mocarstwowe załganie sanacji — wszystko, co stanowiło ponury obraz rzeczywistości sanacyjnej, przedstawia autor w sposób mocny i celny.

**LUCJAN RUDNICKI** — *Stare i nowe* (PIW, s. 406, zł 15.—) — wznowienie książki nagrodzonej Państwową Nagrodą Literacką I stopnia w roku 1949. Jest ona pamiętnikiem autora i obejmuje swą problematyką walkę polskiej klasy robotniczej na przełomie XIX i XX wieku. Wielki talent narracyjny Rudnickiego wprowadza czytelnika w gorącą atmosferę rewolucyjną 1906 roku, zapoznaje z prądami, nurtującymi klasę robotniczą i inne warstwy społeczne w tym okresie. Książka, ze względu na głęboki ton humanistyczny, ideowość i wartość dokumentarną, stanowi niezwykle cenną pozycję w polskiej prozie współczesnej.

**JERZY BROSKIEWICZ** — *Kształt miłości* (Czytelnik, s. 422, zł 12.—) — wznowione wydanie powieści biograficznej o Chopinie, oznaczonej Państwową Nagrodą Literacką w roku 1951. Skupiając swą uwagę na sprawie najważniejszej — pracy i dziele „najwspanialszego ambasadora polskości w sztuce”, Broszkiewicz barwnie maluje życie kompozytora, którego natchnieniem była muzyka ludowa. Postać Chopina ukazana została na tle ówczesnego rewolucyjnego okresu, którego dramatyzm utrwalił kompozytor w swej twórczości.

## Drodzy Czytelnicy!

Jesteśmy wdzięczni tym Czytelnikom, którzy piszą o swoim życiu, o sprawach bliskich, związanych bezpośrednio z ich codziennymi doświadczeniami i obserwacjami.

Te listy w wielu wypadkach mówią jednak nie tylko o sprawie jednego człowieka — mówią również o tym, co się zmienia i zmieniało w całym kraju. Prawda tych listów, ich osobisty ton wzbogacają naszą wiedzę o człowieku i o życiu. Przykładem tego typu korespondencji jest list ze wsi, który drukujemy poniżej.

„Przyjaciele! Poznaję się w nieszczęściu, prawda to szczerza. Piszę to, bo spotkało mnie prawdziwe nieszczęście: od września zeszłego roku choruje mój synek na gruźlicę stawu kolanowego. Jakim przyjacielem jest obecny ustrój naszej ojczyzny, przekonałem się w nieszczęściu. Czy mogłem marzyć w dawnej Polsce przedwzrostowej, Polsce kapitalistów i obszarników, o tym, żeby chore dziecko było tak starannie i przede wszystkim bezpłatnie leczone w sanatorium przeciwgruźliczym? Na pewno z powodu braku gotówki chore dziecko leżałoby w domu, bez fachowej opieki, i zostałoby kaleką, ciężarem dla rodziny i społeczeństwa. Obecnie dziecko przebywa w Państwowym Sanatorium Przeciwgruźliczym w Istebniej, ma fachową opiekę, świetne wyżywienie (5 razy na dzień), nie ma przerwy w nauce i na pewno po ukończeniu kuracji wróci do domu zdrowe i w przyszłości nie będzie ciężarem, ale pełnowartościowym obywatelem ojczyzny. Wszystko to możliwe jest dzięki zmianom, jakie nastąpiły w naszej Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Piszę to nie po to, żeby chwalić sanatorium, lecz po to, żeby tym, którzy stale tylko narzekają, dać do zrozumienia, że narzekanie ich najczęściej spowodowane jest bezzmyslnie, bez głębszego zastanowienia się nad zmianami, jakie zaszły w naszej ojczyźnie. Dopiero gdy kogo spotka nieszczęście i w nieszczęściu otrzyma pomoc od państwowych instytucji, przekona się, jakie zmiany nastąpiły w naszym kraju na korzyść świata pracy.

„Mam jedną prośbę do Szanownej Redakcji, a mianowicie: jako stałemu czytelnikowi Waszego „Świata“, mam nadzieję, nie odmówicie. Prosiłbym bardzo, żeby ktoś z fotografów pojechał do Państwowego Sanatorium Przeciwgruźliczego w Istebniej i zrobił kilka zdjęć z okolicy i z samego życia w sanatorium i później po napisaniu artykułu umieścił te zdjęcia w tygodniku „Świat“. Myślę, że artykuł taki spełni swoje zadanie i nie będzie niepotrzebny. Piszę to dlatego, bo zbieram roczniki tygodnika „Świat“ od pierwszego numeru i chciałbym, żeby po dorosnięciu dzieci ofiarować im to na pamiątkę, żeby one znów, gdy będą dorosłymi już obywatelami, odczuły opiekę, jaką rozłacza obecny Rząd dziś nad młodym pokoleniem. Mam nadzieję, że prośba moja będzie wysłuchana, za co z góry dziękuję.

„Syn mój, który przebywa w Sanatorium, nazywa się Marian Maj“.

Pozostaję z głębokim szacunkiem

DANIEL MAJ  
ze wsi Sporniak, pow. Lublin

P.S. Jestem pracownikiem Wytwórni Sprzętu Komunikacyjnego w Lublinie.

M. SAMOZWANIEC

## KSIĄŻKA I MYSZ

Myszka tę radę z ust swej matki słyszy: „Jedz książki, a będziesz najmądrzejszą z myszy!“ Wiedząc do biblioteki pewnej się zakradła Wallace'a i Minizkównę po kolei zjadła. Napoczęła jeszcze jakąś powieść grubszą i była coraz głupsza... Zaś moral prosta z tej bajki wynika, że zalety JAKIE książki się polyka!

LENGREN



„No i w dwudziestej siódmej minucie gry, uważasz... lewy łącznik podaje do środkowego napastnika, a ten strzela w sam róg.“

## ZWAŻYWSZY...

**LEBIEDKOW**, redaktor pewnego pisma ukazującego się w mieście N., po otrzymaniu telefonicznej wiadomości, że materiały na wewnętrzne kolumny jutrzejszego numeru nie zostały jeszcze złożone, postanowił pół godziny zostać w domu i położyć się na kanapce, by nieco odpocząć.

— Dlaczego jesteś dziś nie w humorze? — zapytał żonę, która sprzątała ze stołu. — Podczas śniadania wcale nie rozmawiałeś, teraz też milczysz? Masz jakieś kłopoty? Czy miałeś dziś zajęcia?

Żona redaktora nie od razu odpowiedziała na pytanie. — Czym byłem zajęty? — odezwała się wreszcie, rzucając na męża przełotne, lecz bynajmniej nie przyjazne spojrzenie. — Zważywszy, jak podstawowe znaczenie posiada zagadnienie utrzymywania należytej czystości i higieny na terenie zamieszkiwanej przez nas dwudziestometrowej powierzchni...

— Chwileczkę... momentek! — przerwał żonie redaktor Lebedkow. — Co ty tam wygadujesz...? Sprzątałaś pokój... i co dalej?

— Po dokonaniu powyższych czynności udałam się do miasta, wykonując przy tym niezbędne ruchy, celem przyspieszenia procesu posuwania się naprzód oraz skoordynowania związanych z tym funkcji... W wyniku powyższego...

Redaktor Lebedkow o mało nie spadł z kanapki. Przy słowach „skoordynowania“ itd., zerwał się i badawczo przyjrzał się swej żonie.

— Kochanie... Jak się czujesz? Jak z twoim zdrowiem?

— Moje zdrowie? Lepšie aniżeli przewiduje ustawowa norma...

— Pytam poważnie...

— Ależ odpowiadam ci całkiem poważnie...

Ta odpowiedź nie zaspokoiła jednak redaktora Lebedkowa i uznał za właściwe zadać żonie jeszcze parę pytań, celem sprawdzenia jej stanu zdrowia.

— A jak tam nasza Halinka? Czy nie spóźniła się dziś do szkoły?

— Halinka? O, nie... Zważywszy, iż uczennica pierwszej klasy szkoły podstawowej, Halina Lebedkówna, całkowicie uświadamia sobie powagę zagadnienia zdobycia wszechstronnej wiedzy, w ramach przewidzianych przez plan szkolny, a ponadto cieszy się kwitującym zdrowiem i ogromnymi zasobami energii...

— Rozumiem — odpowiedział redaktor. — Czyli... Halinka wstała dziś wcześniej i poszła do szkoły... A jakie ma stopnie?

— Ach, stopnie? Zważywszy, że dzięki przedsięwziętym w porę środkom zaradczym, zmierzającym do zapewnienia stu-procentowych postępów w zakresie wszystkich wykładanych zgodnie z planem przedmiotów, uczennica pierwszej klasy wspomnianej szkoły podstawowej, Halina Lebedkówna w chwili obecnej, idąc po linii...

— Dajże pokój! — wybuchnął wreszcie redaktor Lebedkow. — Co ty za brednie wygadujesz? Mów po ludzku, bez tych „wygibasów“...



Żona redaktora roześmiała się przebiegle, a redaktora ogarnęły poważne wątpliwości, co do stanu jej zdrowia.

Po chwili żona redaktora Lebedkowa sięgnęła po pismo, redagowane przez męża, rozłożyła je i podała mu.

— Nie myśl, że zwariowałam... przeczytałam od początku do końca twoje pismo, towarzyszu redaktorze... Mówię tak, jak wy piszecie... To wszystko, co mam ci do powiedzenia.

(„KROKODIL“)

## ŚWIAT

TYGODNIK ILUSTROWANY  
Redaguje Komitet  
Wydawca: R.S.W. „PRASA“

Redakcja: Warszawa, Nowy świat 58. Telefony: Red. Naczelny: 6-41-64. Centrala 6-41-02, 6-41-23. Administracja: Warszawa, Wiejska 12, tel. 8-00-81. Prenumerata miesięczna zł 4.80, kwartalna zł 14.40, półroczna zł 28.80, roczna zł 57.60.

Zakłady Włókiendrukowe i Introligatorskie RSW „Prasa“  
Warszawa, Okopowa 58/72.

Zam. Nr 332. Papier rotogr. V/80-82 cm. — 4-B-16231

## SZACHY

### PANTIA HISZPAŃSKA

grana na Olimpiadzie  
w Helsinkach

Białe: Szily (Węgry)  
Czarne: Bronstein (ZSRR)

1. e2-e4 e7-e5 2. Sg1-f3  
Sb8-c6 3. Gf1-b5 a7-a6 4.  
Gb5-a4 d7-d6 5. d2-d4  
b7-b5 6. Ga4-b3 Sc6-d4 7.  
Sf3:d4 e5:d4 8. c2-c3.

Białe ofiarowują piona za  
inicjatywę. Spokojną kontynu-  
acją było 8. Gd5 i 9. Gc6+.

8... d4-d3.

Po 35-minutowym namyśle  
Bronstein zdecydował się nie  
brać piona. Na 8... d:c3 mogło  
np. nastąpić 9. S:c3 Sf6 10.  
0-0 Ge7 11. We1 0-0 12. Gg5  
z niejasną grą, lub 9. Hd5  
Ge6 10. Hc6+ Gd7 11. Hd5 z  
remisem.

9. Hd1:d3 Sg8-f6 10. 0-0  
Gf8-e7 11. Gc1-g5 0-0 12.  
Gb3-c2

Z groźbą 13. G:f6 i 14. e5.

12... g7-g6 13. Sb1-d2  
Wf8-e8 14. Wa1-d1.  
Jest to strata tempa. Nale-  
żało od razu grać 14. Wa1.  
14... Gc8-b7 15. Wd1-e1  
d6-d5 16. e4-e5 Sf6-e4 17.  
Sd2-e4.

Po 17. G:e7 H:e7 18. S:e4  
d:e4 straciłyby białe piona e5.  
17... d5:e4 18. Hd3:d8  
Wa8:d8 19. Gg5-f4! Gb7-d5?

Po tym błędzie białe zdolają  
się uwolnić. Należało grać 19...  
g5! i po 20. Gc1 Gd5 21. Gb3  
c6 zachowywały czarne prze-  
wagę.

20. Gc2:e4! Gd5-c4 21.  
Ge4-c6 g6-g5.

Żle było 21... G:f1 22. K:f1  
Wf8 23. Gh6 i białe odzyskały  
by jakość, zachowując lepszą  
końcówkę.

22. Gc6:e8 g5:f4 23. Ge8-c6  
i przeciwnicy zgodzili się na  
remis. Istotnie zarówno po  
23... Wd2 24. b3 G:f1 25. K:f1  
W:a2 26. e6, jak i po 23...  
G:f1 24. K:f1 Wd2 25. We2  
Wd1+ 26. We1 wynik remisowy  
dzięki różnorodnym goń-  
com był uniemożliwiony.

### ZADANIE POZAKONKURSOWE

J. Alosyn



Mat w dwóch posunięciach

## ROZRYWKI UMYSŁOWE

### ANAGRAMÓWKA

Odgadnąć 12 sześciolitero-  
wych wyrazów o poniższych  
znaczeniach, po czym w każ-  
dym z nich poprzestawiać li-  
tery w ten sposób, aby po-  
wstało 12 nowych wyrazów  
sześcioliterowych, które na-  
leży wpisać do pionowych rzę-  
dów podanej figury. Czwarte  
litery tych nowych wyrazów,  
czytane kolejno, dadzą roz-  
wiązanie.

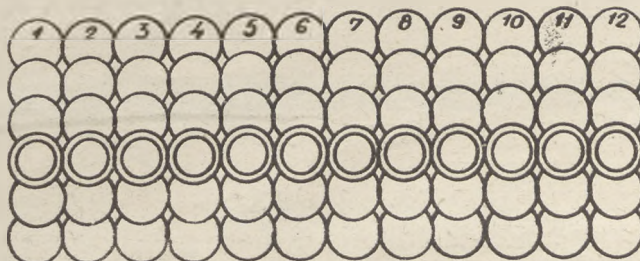
Znaczenie wyrazów: 1) Pa-  
kunek, zawiniątko, 2) Nad-  
zwyczajna rzadkość, osobli-  
wość, 3) Twarda ostonka  
ziarn nasionnych w niektó-  
rych owocach, 4) Bezleśny  
płaski obszar Syberii po-  
rośnięty mchami i porostami  
na północ od granicy lasów,  
5) Lewy dopływ Sanu, 6) Ina-  
czej: pozostałość, 7) Silacz,

człowiek o wielkiej sile, 8)  
Chciwy, żądny, 9) Miłośnik,  
wielbiciel, 10) Dzieciak, ma-  
lec, brzdąc, 11) Następstwa,  
zmiany, 12) Największe jezioro  
w Europie.

Rozwiązania należy nadsy-  
łać w terminie 10-dniowym od

daty ukazania się numeru pod  
adresem redakcji z dopiskiem  
na kopercie „Rozrywki umy-  
słowe”. Wśród Czytelników,  
którzy nadesłali prawidłowe  
rozwiązania, rozlosowanych  
zostanie.

20 nagród książkowych



## ROZWIĄZANIE ZADANIA Z NR 85

### LOGOGRYF MUZYCZNY:

Orkiestrion. Orkiestra symfo-  
niczna — (wielonczela, trąba,  
altówka, triangul, klarnet,  
kaylofon, kontrabas, organy,  
fagot, bas, skrzypce, tambu-  
ryn, arfa, harmonia, dzwonki,  
ptkulina, kocioł, puzon, bębe-  
nek, talerze).

Za dobre rozwiązanie zada-  
nia z nr. 85 nagrody książko-  
we otrzymują:

1) J. Bochacek — Niegło-  
wice, p-ta Jasło, 2) D. Byd-  
łowska — Wągrowiec, Nad-  
leśnictwo Durowo, 3) T. Cza-

bański — W-wa, ul. Mokotow-  
ska 27, 4) J. Freudenheim —  
Bochnia, ul. Oracka 6, 5) M.  
Gospodarczyk — W-wa, ul.  
Mładska 20, 6) J. Jurek —  
Gdańsk, ul. Płowce 26, 7) W.  
Kowalski — Poznań, ul. Engla  
Nr 30, 8) J. Kępczyński — Poznań,  
ul. Umińskiego 24, 9) J. Ku-  
piec — Kraków, ul. Micha-  
łowski 3, 10) J. Łukasik —  
Chwalibogowice, p-ta Opa-  
towiec, 11) J. Miller — W-wa,  
ul. Śniadeckich 10, 12) Z. Oko-  
niewski — Poznań, pl. Skło-  
dowskiej 2, 13) B. Piskiewicz  
— jedn. wojsk., 14) S. Ro-

kicki — Szczecin, DOKP, 15)  
S. Sobieska — W-wa, ul. Ra-  
kowiecka 41a, 16) S. Semilska  
— W-wa, ul. Pruszkowska 6,  
17) H. Szrejbrowski — Lesz-  
no, ul. Lipowa 30, 18) M.  
Szykiewski — Leszno, ul.  
Karasia 6, 19) E. Witczak —  
Konin, ul. Dąbrowskiego 35,  
20) M. Zienkiewicz — Sopot,  
ul. Stalina 707.

Nagrodę autorską z nr. 85  
otrzymuje Romuald Jadecki  
— Bydgoszcz, ul. Stalina 19.

Nagrody wysyłamy pocztą i  
prosimy o potwierdzenie ich  
odbioru.

## FILATELISTYKA

### ZNACZKI PIĘŚCIARSKIE

Z okazji X Mistrzostw Euro-  
py w Boksie 17-24. V. 1953  
poczta polska oddała do obie-  
gu specjalną serię znaczków  
sportowych: 40 gr — czerwio-

no-brązowy, 80 gr pomarań-  
czowy i 95 gr fioletowy.

Pierwsze dwa znaczki, o  
jednakowym rysunku, wyko-  
nano wg. projektu L. Jago-  
dzińskiego; ostatni — Cz. Bo-

rowczyka. Wszystkie znaczki  
zostały wydrukowane techniką  
rotograwiurów, w formacie  
25,5x31,25 mm (wraz z mar-  
ginesami), ząbkowanie 12½.

Z. R.



## TANIO i ŁADNIE



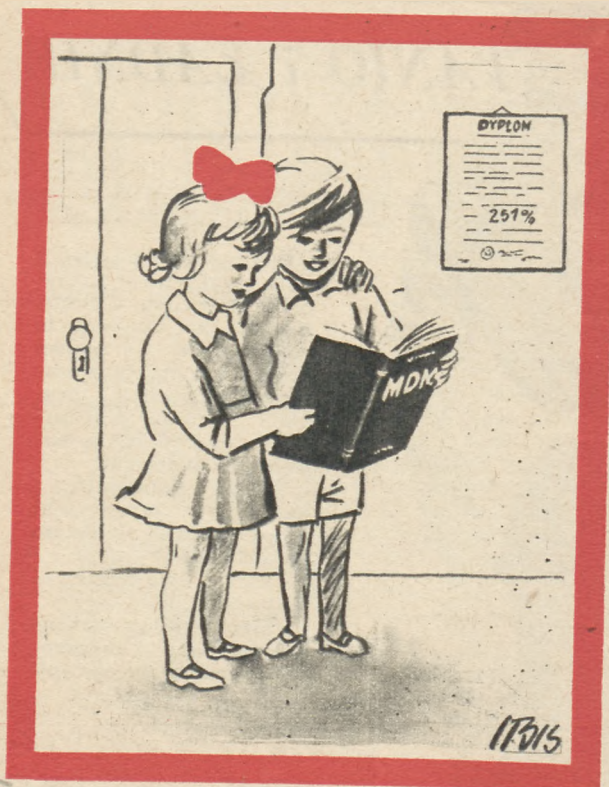
Sukienka letnia, którą  
obok widzicie jest rze-  
czywiście tania i ładna.  
Uszyto ją (możecie to  
zrobić same — model  
jest bardzo prosty) z sza-  
firowej popeliny czes-  
kiej. Zamiast popeliny  
może też być użyte ba-  
wełniane płócienko.

Wyłogi kołnierzyka i  
mankietów oraz guziki  
wykonane są białym  
jedwabem.

Pasek i pantofelki —  
oczywiście białe.

Jasne, że kolor szafiro-  
wy nie jest obowiązkowy:  
można go zastąpić





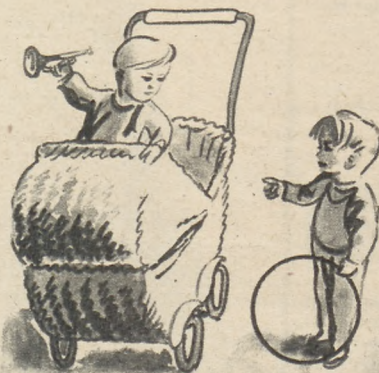
— Mój tatuś napisał tę książkę.  
— A o moim tatusiu napisano w tej książce.

Rys. IBIS



Bez podpisu

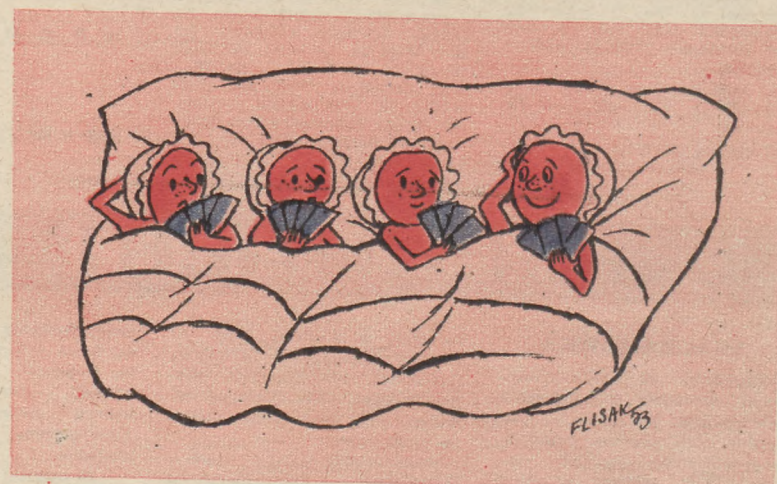
Rys. Kiuin



17/15

Rys. IBIS

— Nie wie Pan, że pojazdom nie wolno używać sygnałów dźwiękowych.



— Nudny ten bridge, może sobie teraz trochę pokrzyczymy.



Rys. Flisak

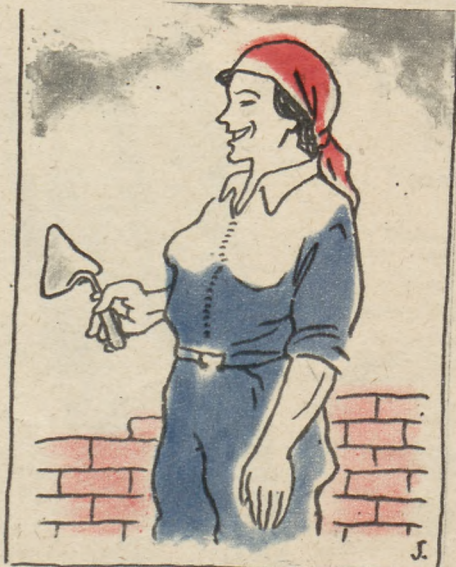
— Mamo, chodź zobacz, jakie będziemy mieli metrooo!



Po zdemaskowaniu w Rzymie oszczerczej wystawy, skierowanej przeciwko Obozowi Postępu  
— Po co pan to fotografuje?  
— Może się przyda do wystawy: „Terror za żelazną kurtyną...”



WCZORAJ



DZIS

Rys. Jantar

„Kobieta zmienną jest...”



GRY I ZABAWY dzieci amerykańskich

Rys. Charlie